21. kwietnia 1866. Nr. 16. Rok I.

Wychodzi we Lwowie co sobotę, arkusz lub półtora.
Prenumerata w miejscu: 6 zł. 50 ct. rocznie — 3 zł. 25 ct. półrocznie — 1 zł. 65 ct. kwartalnie — 55 ct. miesięcznie.
Numer pojedyńczy kosztuje 15 ct.

TYGODNIK NAUKOWY I LITERACKI.

Zamiejscowa w Austrji: 7 zł. rocznie — 3 zł. 50 ct. półrocznie — 1 zł. 80 ct. kwartalnie — 60 ct. miesięcznie.
Redakcja i administracja pod l. 554⅔, przy ulicy Szerokiej.
Expedycja i miejscowa prenumerata w księgarni J. Milikowskiego.

Dr. Maksymiljana Müllera
profesora akademji Oksońskiej

Odczyty o umiejętności języka.

Dla polskich czytelników przerobił **Bronisław Trzaskowski.**

Odczyt trzeci.

Umiejętność języka na stanowisku empirycznem.

(Ciąg dalszy.)

Zdaje się nawet, że nauka obcych języków z większą łatwością przychodziła cudzoziemcom niż Grekom i Rzymianom. Zaraz po zdobyciach macedońskich widzimy Beroza w Babilonie, Menandra w Tyrze, Manetona w Egipcie, gdzie każdy z oryginalnych źródeł dzieje ojczyzny swej czerpał. Pisali oni swe dzieła po grecku i dla Greków. Beroza ojczysty język był babiloński, Menandra fenicki, Manethona egipski. Berozus czytał z równą łatwością klinowe nap sy Babilonu, jak Manethon papirusowe zwoje Egiptu. Wystąpienie równoczesne trzech mężów, co będąc barbarzyńcami przecież dzieje swej ojczyzny niepamięci wydrzeć usiłowali oddając je z ufnością pod opiekę swych greckich zwycięzców, jest rzeczą nader ważną. Równie ważnem, ale dla greckich i macedońskich zdobywców nie bardzo chlubnem jest i to, że jak się zdaje, bardzo mało cenili te znakomite dzieła. Zaginęły one wszystkie i tylko drobne pozostały z nich szczątki. Jednak z tych małych ułamków przekonać się można, że dzieło Beroza byłoby nieoszacowanym przy czytaniu klinowych napisów i przy badaniach babilońskich dziejów przewodnikiem, i że Manethon, gdyby się był w całości utrzymał, całe tomy sporów o egipską chronologję byłby nam oszczędził. Widzimy także z równoczesnego prawie pojawienia się tych dzieł, że w czasach dijadochowskich uczeni cudzoziemcy greckim językiem gorliwie się zajmowali, chociaż z drugiej strony daremnie szukalibyśmy Greka, coby w celach naukowych innego oprócz swego uczył się lub używał języka. Nie widać także ani śladu naukowych między Grekami a cudzoziemcami stosunków przed okresem Aleksandra W. i Aleksandrji. Dopiero w Aleksandrji zbliżyły się do siebie różne narody, mówiące różnymi językami i w różnych wierzące bogów. Chociaż się głównie handlowemi zajmowano sprawami, to przecież nie było bez tego, żeby w wolnych chwilach o swej ojczyźnie, o swoich bogach, królach, prawodawcach i wieszczach nie rozmawiano. Oprócz tego żyli w Aleksandrji Grecy, co się nauce starożytności poświęcali i ludzi z obcych krajów przybyłych badać umieli. Roszczenia Egipcjan co do bajecznej starożytności, wiara Żydów w święty praw swych charakter, cześć, jaką Perzowie pismom Zoroastra oddawali, wszystko to były przedmioty stosowne do uczonych rozpraw w izbach i bibljotekach aleksandryjskich. Tłumaczenie starego testamentu, zwane tłumaczeniem siedmdziesięciu, winniśmy zapewne temu duchowi uczonych badań, który w Aleksandrji od Ptolemeuszów opieki i zachęty doznawał. I Zoroastra dzieło, Zend-Awesta, w tym samym czasie, jak się zdaje, na greckie przetłumaczonem zostało. Albowiem ów Hermippos, który według pliniuszowego podania dzieło Zoroastra przetłumaczył, był podług wszelkiego prawdopodobieństwa perypatetycznym filozofem i uczniem Kallimacha, i jednym z największych aleksandryjskich uczonych.

Lecz chociaż w Aleksandrji te i tym podobne ogólnego zajęcia ślady napotykamy, jakie piśmiennictwo obcych narodów budzić poczęło, to jednak nie ma na to jasnych dowodów, że obce języki stały się same przez się przedmiotem umiejętnych badań. Nie nauka obcych języków, lecz studja nad staremi własnego języka narzeczami naprowadziły Greków na badania, któremi byśmy dzisiaj krytycznemi i filologicznemi nazwali. Krytyczne greckiego języka badania pochodzą z Aleksandrji i odnosiły się głównie do tekstu homerowego. Ogólne gramatyki zarysy napotykamy, jak to wyżej powiedziano, już w dawniejszym okresie. Wyrosła ona w szkole greckich filozofów. Już Plato znał imię i czasownik jako główne części mowy. Arystoteles dodał spójnik i rodzajnik. On badał także różnicę między liczbą a przypadkiem. Lecz ani Plato ani Arystoteles nie uważali na formy językowe w stosunku do form myśli, ani też nie ujęli ich w pewne praktyczne reguły. U Arystotelesa jest czasownik czyli *rhēma* prawie tem samem, co orzeczenie, a w zdaniach jak np. ś n i e g j e s t b i a ł y byłby pewnie b i a ł y rhematem nazwał. Dopiero aleksandryjscy uczeni zaprowadzili niejaki ład w językowe formy; a głównem ich zadaniem było ustalenie poprawnych tekstów greckich klasyków a nadewszystkich Homera. Dla tego byli zmuszeni do pilnej na wszystkie językowe formy uwagi. Rękopisma, które z rozmaitych części Grecji do Aleksandrji i Pergamu posyłane, różniły się wiele w tekście, i tylko bardzo staranne poszukiwania okazać mogły, na które formy można było przystać w Homerze, a które trzeba było odrzucić. Ich wydania homerowych pieśni były to nietylko *ekdoseis*, *editiones*, ale oraz *diorthoseis* czyli krytyczne wydania. Były także rozmaite szkoły, które się w zdaniach swoich o języku Homera różniły. Każdego słowa, które Zenedot albo Arystarch przyjął, trzeba było bronić, a obrona ta polegała na postawieniu ogólnych reguł homerowskiej gramatyki. Czy używał Homer rodzajnika? Czy go używał przy imionach własnych? Te i tym podobne pytania trzeba było rozstrzygnąć, i według tego, czy się wydawcy za tem lub za owem zdaniem oświadczyli, zmieniano tekst tych starych pieśni mniej więcej gwałtownemi poprawkami. Okazała się potrzeba nowych technicznych wyrazów, chcąc np. rodzajnik, gdy go raz uznano od zaimka wskazującego odróżnić. Łacińskie *articulus* jest wiernem tłumaczeniem greckiego *arthron*. Arthron (łac. artus,) oznacza spojenie kości czyli staw. Słowa tego użył najprzód Arystoteles niezawodnie tylko w znaczeniu dołka stawowego, w którym się słowa czyli członki zdania ruszają. W zdaniu, jak np. k t o k o l w i e k t o u c z y n i ł, t e n m u s i z a t o p o k u t o w a ć nazwaliby byli greccy gramatycy zaimek wskazujący t e n pierwszem arthron, a zaimek względny k t o drugiem arthron, a przed Zenodotem, pierwszym bibljotekarzem aleksandryjskim, nazywano wszystkie zaimki po prostu stawami albo członkami mowy. Zenodot wprowadził pierwszy różnicę między zaimkami osobistymi, autonomiai a czystymi rodzajnikami, które dotąd nazwę *arthra* zatrzymały. Wyróżnienie to było bardzo potrzebnem i naprowadziło go na niezawodne poprawki homerowskiego tekstu; Zenodot bowiem był pierwszym, co w Iliadzie i Odyssei rodzajnik przed imionami własnemi przywrócił. Któż, mówiąc o określnym lub nieokreślnym rodzajniku, myśli dzisiaj o początku i pierwotnem słowa tego znaczeniu, i o czasie, ile go upłynęło, zanim słowo to stało się tem, czem jest obecnie, każdemu żakowi dobrze znajomym wyrazem technicznym.

Chcąc ten wpływ, jaki krytyczne homerowskich pieśni badania w Aleksandrji na rozwój terminologji gramatycznej wywarły,

jeszcze jednym objaśnić przykładem, dodajemy, że pierwszą liczby pojedyńczej i mnogiej ideę filozofowie ustalili i określili. Ale Arystoteles nie używał jeszcze takich technicznych wyrazów jak liczba pojedyńcza i liczba mnoga a o liczbie podwójnej nawet nie wspomina. Mówi tylko o przypadkach, które pojedyńczą albo mnogą liczbę wyrażają, chociaż *casus* czyli *ptosis* ma u niego także całkiem odmienne od dzisiejszego znaczenie. Wyrazy liczba pojedyńcza, liczba mnoga dopiero wtedy wynaleziono, kiedy ich potrzebowano, a użyli ich najprzód gramatycy. Zenodot, wydawca Homera, odkrył pierwszy liczbę podwójną w jego pieśniach, a uniesiony zwyczajnym wszystkim odkrycielom zapałem nie jedną zapewne liczbę mnogą za podwójną poczytał.

Uczeni Aleksandryjscy i ubiegający się z nimi o pierwszeństwo akademicy pergamscy byli zatem pierwsi, co język grecki krytycznie badali t. j. analizowali, pod ogólniejsze kategorje podciągali, rozmaite części mowy wyróżniali, wyrazy techniczne na rozmaite funkcje słów wynajdywali, mniej więcej poprawny każdemu z poetów właściwy styl obserwowali, różnice między przestarzałemi a klasycznemi formami uważali, i długie uczone rozprawy o wszystkich tych przedmiotach pisali. Dzieła ich stanowią wielką epokę w historji umiejętności języka. Ale jeszcze jednego potrzeba było kroku, nim się prawdziwie praktyczna czyli elementarna greckiego języka gramatyka pojawić miała. Pierwszą więc prawdziwą praktyczną gramatykę napisał Dionizjus Traks. Istnieje ona dotychczas, a chociaż o jej autentyczności z wielu stron powątpiewano, jednakowo wszystkie te wątpliwości za zupełnie usunięte uważać można.

Lecz kto był ów Dionizjus Traks? Ojciec jego pochodził jak to samo nazwisko pokazuje, z Tracji; ale Dionizjus sam żył w Aleksandrji i był uczniem sławnego krytyka i wydawcy Homera, Arystarcha. Dionizjus udał się potem do Rzymu, gdzie w czasach Pompeja obowiązki nauczyciela pełnił. Tu napotykamy zupełnie nowe w dziejach oświaty zjawisko. Grek, uczeń Arystarcha, osiedla się w Rzymie i pisze praktyczną greckiego języka gramatykę — rozumie się — dla swoich rzymskich uczniów. Nie był on wynalazcą umiejętności gramatycznej. Prawie cały szkielet gramatyki podali mu poprzednicy jego od Platona aż do Arystarcha; ale on był pierwszym, co przez podrzednich filozofów i krytyków zdobyte rezultata do praktycznych celów nauki greckiego języka zastosował, a to, co jest najważniejszem, nie dla Greków, którzy po grecku rozumieli i tylko teoretyczne nad swym językiem studja robić chcieli, ale dla Rzymian, których deklinacji i konjugacji tak prawidłowej jak i nieprawidłowej uczyć trzeba było. Dzieło jego stało się tym sposobem jednym z głównych kanałów, którym terminologja gramatyczna, co się z Aten do Aleksandrji była dostała, do Rzymu płynęła, aby się ztąd po całym oświeconym świecie rozpłynąć. (C. d. n.)

KOLENDA

na korzyść braci tułaczy kształcących się we Francji

przez Karola Balińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Tułacz polski! Ach! to miano
Wczoraj jeszcze pełne czci,
Wczoraj hymny mu dawano,
A dziś napój z łez i krwi!
Wczoraj jeszcze dumne cary
Hardy kark przed tobą gną,
A dziś te Herodów mary
Znowu cię mordować śmią!
Wczoraj byłeś cackiem ludów,
Dziś nędzarza padł ci los
I za tyle bolów — trudów
Ani jeden wdzięczny głos!
Wczoraj świat niósł cześć twej cnocie,
Dziś nie widzi nic prócz plam,
Chciałby ciebie znurzać w błocie,
Byś był czarnym jak on sam!
O! narodzie! od twych synów
I ty dziś odwracasz twarz!
Od nich tyle masz wawrzynów!
Od nich nawet życie masz!
A tam tyle duchów czystych,
Co tylko o tobie śnią!
A tam tyle serc ognistych,
Co za ciebie ginąć chcą!

Wielka zorza, święta zorza,
Po nad światem przeszła marno,
Cofnęła się ręka Boża,
I znów wszędzie brudno, czarno.
Na krwi, co wciąż jeszcze pluszcze,
Znowu kramy wciąż rozpięte,
Bratobójcze płatne tłuszcze,
I korony z błota zdjęte!
Świat cały szyderczym śmiechem
Bluźni dzisiaj tułaczowi
I piekielnem woła echem:
Cześć carowi! cześć carowi!

Przebacz Boże to bluźnierstwo!
My znów kiedyś za ten gniew,
Za pogardę, za szyderstwo,
Dla ich szczęścia damy krew.

I modliłem się do Boga,
Nie na wroga, lecz za wroga,
I za braci opuszczonych,
Co tak gasną w życia kwiecie,
Za tych braci rozproszonych
Po tym całym bożym świecie.

Gdy tak modlę się ze skruchą,
Za braci i za pogany,
Głos mi jakiś szepnął w ucho,
Głos dobrze i z dawna znany:
„Dla braci ginących z głodu
Idź po wsparcie do narodu!“
Poznałem — to ksiądz Ambroży,
Sługa Polski, sługa Boży,
Patron biednych, głowa bractwa,
Ojciec sierót i tułactwa.
Uścisnął, pobłogosławił,
Natchnął męztwem i wyprawił,
I krzyż święty dał na drogę —
Więc zrzuciłem z serca trwogę
I niepewność i wstyd próżny,
I ruszyłem w świat podróżny.
Z kraju żalów, więc żalnicę
Wziąłem sobie za skarbnicę.
Kto mię przyjmie nieochoczy,
Kto dar rzuci dumnie, hardo,
Temu wzgardę płacę wzgardą,
Dar choć złoty rzucę w oczy;
Kto podarkiem chociaż małym,
Ale za to sercem całem,
Temu daję dobre słowo,
A czasem i radę zdrową.
I tak idę, póki zdołam,
A po drodze witam, wołam
I zachęcam, upominam,
Przypominam i zaklinam
W imię Polski, w imię Boże
Dajcie, bracia, co kto może! (C. d. n.)

W KRAJU.

OBRAZEK.

Przez Paulinę z L. Wilkońską.

(Dokończenie.)

IV.

W miesiącu sierpniu zatrzymał się przed domem zajezdnym ponad zwirówką w X. lekki koczyk parokonny — i wysiadł z niego znany nam pułkownik Włastowicz.

W tejże samej chwili nadjechała i mała bryczułka, na której siedział mężczyzna silnej postawy, rumiany, ogorzały, z zamaszystym wąsem — istny szlachcic polski.

— Pułkowniku! — zawołał — niechżeż cię uściskam!

— Jak się masz, kochany panie Antoni? — i uścisnęli się nawzajem.

— Wróciłeś przecie?

— Przed tygodniem dopiero. Zostawiłem przyjaciela w lepszem zdrowiu i pospieszyłem napowrót.

— A cóż tam słychać?

— Nic! — i Włastowicz ramionami ruszył, a pan Antoni westchnął.

— Pewnie do Dąbrowca jedziesz?

— Nie inaczej.

— Oj, bratuniu jedyny! aż miło jak to tam teraz idzie

— No, gadajże!

— Cacy, bratku, cacy! Ład, porządek, dbanie o wszystko; sam pan i sama pani pospołu się krzątają. Przyszło uznanie i upamiętanie i wrócili i ot, idzie wszystko jak iść powinno. A jużeśmy myśleli, że za drugiemi lecą do upadku. Grunt był dobry, ot to!

Pan Antoni w krótkich opowiedział słowach, jakie to ulepszenia pan Czesław zaprowadza ciągle; jak ochoczo zajmuje się gospodarką — i jaka to z pani Czesławowej poczciwa, zacna i kochana jest kobiecina i obywatelka. A potem sobie pojechał dalej.

W parę godzin później stanął pułkownik w Dąbrowcu. Skurzony koczyk wolno okrążył trawnik ślicznemi ozdobiony klombami, a gdy przed piękny zajechał pałac, nadbiegła z boku pani Ratymirska i wielce ucieszona powitała wuja.

Pułkownik z radością spojrzał na siostrzankę; na licach jej kwitnął rumieniec a uśmiech na ustach — i niby powabniejszą jeszcze była w skromnem ubraniu domowem, świeżutkiem a gustownem, w kapeluszu słomkowym, z pękiem kluczy w ręku — aniżeli kiedykolwiek w stroju najwykwintniejszym.

Wprowadziła wuja do pokoju — i raz jeszcze drogiego uścisnęła gościa.

— Czesław wyjechał w pole — wymówiła — alem już posłała po niego. A Tadzio jest w ogrodzie. Chłopiec nie chce mi wcale w pokoju dosiedzieć; istnie to wiejska natura — i zaśmiała się wesoło.

— No, a jakżeż tam — zapytał pułkownik — czy nie tęsknisz za Paryżem? Za życiem świetnych salonów i wystawami wielkiego świata?

— Nie, wujaszku nie! zawołała ze szczerością — jak kocham Czesława mojego i Tadzia! Nęciła mnie kiedyś zagranica i wabił Paryż, jako jeden z cudów świata. Czarowało mnie tamto życie.... i poszalałam w niem. Ale... było i czczości dużo na której nie umiałam się poznać, a dzisiaj zapełnione mam życie. Tam szalałam, tu żyję. Tam wirowałam w odmęcie zabaw, które... i nie zawsze mnie zajmowały, tutaj spełniam obowiązki, jakie sama włożyłam na siebie, i błogo mi z tem na duszy. Tam była ułuda, tutaj serca biją... O, nie masz jak swój kraj!

Pułkownik położył dłoń na jej głowie, a w oku jego łza połysnęła.

— Teraz zaś, moje dziecko — dodał, biorąc ją za rękę — muszę się przed tobą wyspowiadać z grzechu...

— Jak to! Wujaszek?

— Przez miłość dla was!

— Nie rozumiem.

— A nawet i ze względu na stosunki społeczne u nas.

— Ależ co, wujciu?

— Skłamałem!... Ja, który nienawidzę kłamstwa, a kłamcą pogardzam.

— Wujaszek?!

— Skłamałem, że Czesław będzie musiał Żołędzin sprzedać...

— Och! — zaśmiała się Eliza i w dłonie uderzyła z lekka.

— Chciałem ciebie nastraszyć!...

— Wujciu! oddawna domyśliłam się tego, i chwała Bogu, że się tak stało!

— Więc dajesz mi absolucją?

— Stopy wujaszkowi całuję!... Gdyby to raczej wszyscy takich przestrzegaczy mieli! Gdyby wszyscy mieli takich wujaszków!

— Mają, dziecko kochane! Ale nie wszyscy poczciwego głosu posłuchać umieją. U was było tu dobrze — i wskazał na serce — a tutaj porządnie — i dotknął głowy — to i szczere słowa trafiły do jednego i do drugiej od razu. A wiesz ty, że mnie to kłamstwo trapiło, mnie, co brzydzę się wszelką nieprawdą?

— Śmiejmy się teraz z tego wujaszku!... A dzięki! Niewysławione dzięki! — dodała, składając dłonie — że nas wujaszek do domu napędził.

— A więc i tutaj fałszywy środek został uświęcony skutkiem! — westchnął z lekka pułkownik.

— Za pokutę wszelako pójdzie wujaszek teraz Tadzia uścisnąć. Chodźmy! — i Eliza ujęła go pod rękę.

Tadzio bawił się na trawniku. Przy nim był kruczek i obal, i siedziała mamusia ochoczo zawodząc piosenki. Dziecię krzyknęło wesoło, wyciągając rączki do matki a mamusia objęła z wdzięcznem uczuciem kolana pułkownika.

— A co? — pochylił się ku niej z uśmiechem — czy lepiej tutaj, jak w Paryżu?

— O, paniczku! O, jaśnie panie! Nie masz to jak swoja wioska i haj polską jeno słychać mowę! — odrzekła kobieta.

Eliza podniosła chłopczyka i podała go dziadzi. A malec nasamprzód z jego powitał się wąsami.

Niezadługo przybył i Czesław — ogorzały, z czerstwą cerą lica i wesołego wejrzenia.

Setne zapytania i odpowiedzi krzyżowały się wciąż. Domięszywał i Tadzio swoje wykrzykniki wesołe, rozrzucając cukierki otrzymane od dziadzi.

Gospodyni domu zakrzątała się — pobrząkała kluczami — i podano wyśmienity podwieczorek w zacisznem miejscu, ostawionem drzewkami stref południowych, chodowanemi w cieplarni dąbrowieckiej.

Pan domu nalał kieliszki złotawym płynem Takaju i wzniósł toast na powrót szczęśliwy kochanego wujaszka!

A pułkownik trąciwszy kryształem odpowiedział:

— Wszędzie dobrze, najlepiej w domu! Niech żyją w długie lata ci, którzy tę prawdę zemną wyznają!

Siekierki w grudniu 1862.

*

Sprawa polska na kongresie wiedeńskim

przez

Bronisława Zamorskiego.

(Ciąg dalszy.)

III.

Szesnastego września 1814 otworzyły w Wiedniu cztery mocarstwa sprzymierzone konferencje przygotowawcze: ks. Metternich w imieniu Austrji, Castlereagh w imieniu Anglji, Humboldt Prus, Nesselrode Moskwy. Podzielono sprawy kongresu na dwa działy: wielkich interesów Europy i interesów Niemiec. W pierwszym dziale miał obradować komitet czterech sprzymierzonych mocarstw zawiadamiając tylko o rezultatach Hiszpanję i Francję. Na dniu 22 września zaś uchwalono już, że mocarstwa sprzymierzone nie wejdą w konferencję z Francją i Hiszpanją, dopóki sprawa księstwa warszawskiego i Włoch ukończoną nie zostanie.

We dwa dni po tej uchwale przyjechał pełnomocnik francuski książe Talleyrand de Perigord, — a na trzeci dzień przyjmowano z ogromną paradą cara Aleksandra i króla pruskiego Fryderyka Wilhelma, wówczas uważanych za bohaterów pierwszych w Europie.

Talleyrand umiał zręcznie wpłynąć na zmianę tych postanowień i zapewnić Francji stanowczy głos na kongresie. Znał on dobrze zobowiązania się króla swego Ludwika XVIII z dnia 30 maja 1814 na mocy których tenże Austrji, Prusom, Moskwie i Anglji dozwolił rozporządzać Europą, podług upodobania; otrzymawszy jednak wiadomość o uchwale z dnia 22. września, wystosował notę, w której się wyraził: »że sprzymierzeni przestali być sprzymierzonymi, odkąd Burboni do swoich praw wrócili, bo nie ma więcej nieprzyjaciela, wszyscy są sobie przyjaciołmi.« Skłonił on zarazem Castlereagha do zaprotestowania przeciw uchwale z dnia 22 września, i przymusił dwory sprzymierzone do utworzenia komitetu ośmiu mocarstw, z których każde mające głos jeden w sprawach europejskich decydować miało.

Wedle planu jaki sobie z góry Moskwa i Prusy zakreśliły, wniósł car jako przyjaciel i opiekun Polaków sprawę polską powiązaną w sposób wyżej nadmieniony ze sprawą Niemiec t. j. iż car miał otrzymać pod swoje berło całą Polskę, krol pruski zaś miał sobie zabrać Saksonję. Nie spodziewał się car Aleksander że jego myśli zechcą się oprzeć inne mocarstwa, że będą miały tyle odwagi zaprotestować przeciw uchwale Prus i Moskwy a tem mniej spodziewał się król pruski, który pierwszy odstąpił Napoleona, pierwszy powołał Niemcy przeciwko Francji i Napoleonowi, że go szanowni jego koledzy nie zechcą wynagrodzić za jego tak widoczny patrjotyzm całą Saksonją a nawet będą obstawać za trzymanym w więzieniu królem saskim. Nadzieje obydwóch mocarzy zostały jeszcze bardziej omylone, gdy książę sasko-koburski, będący w służbie w wojsku moskiewskiem, założył protest przeciw aneksji Saksonji na rzecz Prus, co tak miało rozgniewać cara Aleksandra, że śmiałemu księciu sasko-koburskiemu wyraźnie oświadczył: »Jeżeli chcesz tak przewrotną prowadzić politykę, to zdejm rosyjski mundur!« (car jak widzimy, uważał przeciwników swej myśli za przewrotnych; a dodajmy tu i to, że czego nie mógł dopiąć grzecznością i szatańskiem przymilaniem się lub złotem — starał się groźbą i prawdziwie moskiewskiemi grubijaństwami dokazać, w czem mu z braterską gotowością dopomagał carewicz Konstanty.)

Dwory francuski, austrjacki i angielski z całą energją występowały za odbudowaniem niepodległej Polski i przeciw uroszczeniom Prus; ale zręczne powiązanie sprawy Polski z Saksonją sprawiło, iż jakkolwiek rzesza niemiecka wtórowała jawnie głosowi wielkich mocarstw za odbudowaniem Polski, to jednak z drugiej strony podsuwały książątka niemieckie potajemnie myśl ponownego rozbioru Polski, dla zaspokojenia cara i Prus i ocalenia Saksonji. Chodziło tu głównie o to, aby Prus niedopuścić do wzięcia przewagi w Niemczech *)

„Esprit du Memorial de sainte Hélène. Par le Comte de las Cases. Paris 1823.

Okazuje się to z dyplomatycznych rokowań i zabiegów, w których dwie osobistości figurują głównie: Metternich i Talleyrand.

Ze strony Prus z początku występował jako pełnomocnik Humboldt. Po usunięciu tego nastąpił książe Hardenberg. Tego pozyskać dla swoich zamysłów starali się koniecznie Metternich i Castlereagh przedstawiciel Anglji trzymającej wówczas jeszcze z Austrją. Castlereagh na notę podaną ze strony Moskwy i Prus w celu oddania Prusom Saksonji a Polski Moskwie, odpowiada księciu Hardenbergowi między innemi pod dniem 11 października 1814: »Rekonstytucja Prus jest rzeczą drogą dla Anglji. Prusy mają swoje wielkie zasługi, Prusy jedne upewniają Niemcy północne od niebezpieczeństw.... Zgodziłbym się wreszcie na wcielenie Saksonji... Ale jeżeli wcielenie Saksonji ma mieć miejsce, jako sposób indemnizowania Prus za szkody zrządzone przez przedsięwzięcia Rosji, to muszę się sprzeciwić stanowczo w imieniu mego dworu utworzeniu Polski połączonej z Rosją, gdyż żądaniem mego dworu jest widzieć Polskę państwem niepodległem większem lub mniejszem pod rządami dynastji osobnej, jako państwo pośrednie między trzema mocarstwy.« *)

Na tę notę podaną tak Prusom jak i Moskwie, car odpowiedział, że zgadza się z jej myślą pod warunkiem, jeżeli stan terytorjalny europejski przywróconym zostanie z r. 1772. Było to nie do wykonania dla wielu mocarstw; wiele ogromnych zmian byłoby musiało nastąpić w Europie. Rosja, Prusy, Austrja musiałyby zwrócic poczynione zabory, Anglja Maltę podobnież Gibraltar, wyspy Jońskie, posiadłości w Indjach oddać, a podbić na nowo Stany Zjednoczone; w Niemczech zupełnie nowy porządek miałby nastąpić — cesarz Austrji byłby znowu cesarzem Niemiec, czego Prusy strawićby nie mogły, a wszystkie medjatyzowane państewka niemieckie musiałyby otrzymać znowu udzielność. Car okazał tu się wspaniałomyślnym względem Polaków, bo wiedział, że ta wspaniałomyślność będzie bez skutku.

Odpowiedzią cara Metternich nie dał się zbić z toru, chociaż lord Castlereagh już nakłaniał się do podziału księstwa warszawskiego między Prusy a Moskwę. Metternich oświadcza się notą 22 października stanowczo przed Hardenbergiem: »Austrja nigdy na połączenie Warszawskiego księstwa z Rosją nie pozwoli, Prusy winny mieć wzgląd, tak dobrze, jak Austrja, aby Rosja nie przechodziła pewnych granic... Pretensje Prus do wcielenia Saksonji są przedmiotem prawdziwego ubolewania dla cesarza. J. C. A. Mość z boleścią widziałby system niby restauracyjny, odbierający jednej z najstarszych dynastyj całe dziedzictwo przodków. Gdyby jednakże nowe okoliczności połączenie Saksonji czyniły koniecznemi, to J. C. A. Mość położyłaby za warunek najzupełniejszą zgodność Austrji i Prus w kwestji polskiej.« Prócz tego oświadczył się Metternich z gotowością poniesienia wszelkich ofiar w celu rekonstytucji Polski.

Nota ta była ponętną, a dla Polski bardzo korzystną łapką na Prusy. Hardenberg po tej nocie zdawał się nachylać ku Austrji, ale król Pruski olśniony potęgą i wielkością cara Aleksandra ani dał sobie mówić o rokowaniach z Austrją na rzecz Polski; kazał Hardenbergowi zupełnie usunąć się od Metternicha i w żadne dalsze układy z nim nie wchodzić. Wówczas Metternich jakoby żartując z Prus, cofnął przyrzeczenie aneksji całkowitej Saksonji do Prus i ofiarował już Hardenbergowi 11. listopada tylko trzy czwarte Saksonji. Gdy Hardenberg wystąpił z szerokimi wywodami Prus do Saksonji i wojną zagroził, wtedy z niezrównaną ironją ofiarował Metternich Prusom w nocie z d. 10 grudnia 1814 już tylko piątą część Saksonji**.)

Car był tak rozgniewanym z tego powodu na Metternicha, że oświadczył cesarzowi Franciszkowi, że z takim człowiekiem jak Metternich nie chce nic mieć do czynienia, czem chciał wpłynąć na cesarza, aby zmienił ministra pełnomocnego, lecz to mu się nie udało. Cara najbardziej to gniewało, że Metternich nie chciał wierzyć w przyjaźń Polaków do cara, pomimo że

*) *Recueil des Traites conventions et actes diplomanti ques de la Pologne par Fr. d'Angeberg. Paris 1863.*"

**) Sprawa polska na kongresie wiedeńskim. Dzien. Lit. 1861.

car miał przy sobie ks. Adama Czartoryskiego i Tadeusza Kościuszkę. Aby więc tak Europę jak i Austrję przekonać o sile, jaką car w Polsce posiadać może nakazał car pobór wojska nowy w Polsce, co miało uczynić armię 70 tysięczną i wysłał carewicza Konstantego do Warszawy w celu usposobienia tem przychylniejszego umysłów na rzecz cara, oraz polecił mu wydać groźną odezwę do armji polskiej i do Polaków. Usłużni ajenci cara nadesłali na ręce księcia Adama zebrane adresy poddańcze w owym czasie do osoby cara, czem nie omieszkał car legitymować się przed reprezentantami innych dworów europejskich *).

Wedle woli carskiej carewicz Konstanty wystosował do wojska polskiego niesłychaną bezczelnością moskiewską nacechowany rozkaz dzienny, który tu dla osobliwości i jako wzór nikczemności moskiewskiej w postępowaniu z Polakami, dosłownie podajemy.

›Warszawa 11 grudnia 1814. Polacy! Odzywa się do Was Najj. C. Aleksander, potężny wasz opiekun. Zbierajcie się wkoło Waszych sztandarów, uzbrójcie Wasze dłonie na obronę Waszej Ojczyzny i utrzymanie politycznego bytu. W czasie gdy ów wielki Monarcha przygotowywa szczęśliwą przyszłość Waszemu krajowi, bądźcie gotowi do poparcia szlachetnych jego zamiarów, kosztem krwi Waszej. Ciż sami dowódzcy, którzy Wam od lat dwudziestu na drodze chwały przewodniczyli, potrafią znowu do niej Was zwrócić. Cesarz umie cenić Wasze męstwo. W pośród klęsk niszczącej wojny, widział, że Wasz honor przetrwał niezawisłe od Was wypadki. Odznaczyliście się świetnemi czyny w wojnach, których powód był Wam częstokroć zupełnie obcy. Teraz kiedy usiłowania Wasze poświęcone będą dla samej tylko ojczyzny, będziecie niezwyciężeni. Żołnierze i wojownicy wszelkiej broni, dajcie pierwsi przykład cnót, które pomiędzy waszymi ziomkami kwitnąć powinny. Poświęcenie się bez granic dla cesarza, pragnącego tylko dobra waszego, miłość k:: jego dostojnej osobie, posłuszeństwo, karność i zgoda, oto są środki zapewnienia pomyślności waszej ojczyźnie, którą silna zasłania tarcza cesarza. Tym to sposobem pozyskacie ów błogi stan, który inni wam przyrzec, lecz on tylko dotrzymać może. Jego potęga i cnoty są tego rękojmią. Konstanty.› **)

Odezwa carewicza tchnęła, jak widzimy, nietylko innym duchem niż rokowanie mocarstw na kongresie, ale wypowiadała nieprzyjaźne a nawet groźne względem nich usposobienie. Mocarstwom kongresującym chodziło wtedy o wydarcie Polski z pod władzy Moskwy — carowi przeciwnie. Car wyjednał sobie był wprawdzie przyzwolenie Prus na przyłączenie całego księstwa warszawskiego do Moskwy pod tytułem królestwa polskiego, a to w zamian za ustąpioną im Saksonję, lecz projekt ten doznał ze strony potencji europejskich najżywszego oporu, i wywołał ostatecznie, po dojściu do wiadomości powszechnej odezwy carewicza Konstantego, zawiązanie dnia 3 stycznia 1815 przymierza sekretnego między Anglją, Austrją i Francją: z przyczyny świeżych roszczeń Prus i Rosji. Car Aleksander znać chcąc sparaliżować tę koalicję zrzekł się utworzenia całej Polski pod berłem swojem, a poddał pod rozwagę kongresu następujących punktów sześć:

›1) Austrja dostanie połowę dochodu z Wieliczki.

2) Tarnopo z okolicą.

3) Kraków i Toruń wolnemi miastami zostaną.

4) Księstwo Warszawskie będzie złączone z Rosją jako królestwo Polskie.

5) Prusy dostaną Saksonję.

6) Aleksander cesarz wstawia się za Polakami poddanemi Austrji i Prus o wolne instytucje.›

Mówiono wówczas jako o rzeczy niezawodnej o nowej wojnie europejskiej. Jakoż rzeczywiście zbrojono się w całej Europie. Z jednej strony stawały Moskwa i Prusy, z drugiej Francja, Austrja i Anglja. Francja obsadziła Ren, Austrja Czechy, Anglja Niederlandy i Hanowerskie wojskiem.

Lecz już wówczas organ angielski urzędowy tak się rozpisał o sprawach toczących się na kongresie wiedenskim: ›Zdaje się, że projekt wcielenia całej Polski do Rosji w postaci oddzielnego królestwa pod vice-królem, ułożonym został między Rosją i Prusami po traktacie paryskim. Projekt ten wielkich doznał przeszkód, mianowicie w sztuce dyplomatycznej Francuzów. Nadaremnie Rosja i Prusy powoływały się na artykuł sekretny paryskiego traktatu, wkładający na Francję obowiązek uznania podziału krajów zabranych lub ustąpionych, jaki sprzymierzeni zatwierdzą. P. Talleyrand utrzymywał, iż pod nazwiskiem sprzymierzonych, należy rozumieć wszystkich sprzymierzonych, a nie to lub owo pojedyńcze mocarstwo i Francja te tylko uzna kongresu wyroki, które wspólnie przez wszystkich wydane zostaną. Takiej zasady chwyciły się zaraz Austrja, Hiszpanja i Anglja, a ztąd sprawa Polski musiała być poddaną pod nową powszechną dyskusję. Niedogodności połączenia całego tego królestwa pod berło rosyjskiego vice-króla, uczuł w końcu i sam król pruski, osobisty cesarza Aleksandra przyjaciel; nie sądził, aby nabycie nawet Saksonji i prowincji między Mozą i Mozelą, zasłaniały jego monarchię od niebezpieczeństw, jakiemi by groziło oddanie Polski. P. Talleyrand usiłował także wykazać innym mocarstwom nieprzyzwoitość tak kolosalnego powiększenia Rosji, i proponować musiał oddanie Prusom całego księstwa warszawskiego przynajmniej po Wisłę; na co także przystały inne mocarstwa, w przypadku zbyt na nieszczęście do prawdy podobnym, gdyby nie można było przywrócić Polski w sposób, dla równowagi europejskiej korzystny. Jeżeli cesarz Aleksander nie ustąpi, jednozgodnym w tej mierze innych mocarstw żądaniom, obawiać się należy, aby kongres nie przedłużał się jeszcze na próżno, i nie odwlekał stanowczego rezultatu. W przypadku, gdyby cesarz Aleksander opierał się życzeniom wszystkich mocarstw, mógłby rachować nietylko na swoje wojsko, ale i na całą Polskę, która woli być rosyjską niż podzieloną. Los Saksonji i innych prowincji niemieckich, zawisł całkowicie od rozstrzygnienia sprawy polskiej; gdyż monarchia pruska ma posiadać 12 miljonów mieszkańców, których nieznajdując w Polsce, musiałaby przybrać w Niemczech.›

Z tego artykułu urzędowego okazuje się, że pomimo zawartego przymierza zaczepno odpornego Anglja a za nią i inne mocarstwa wcale nie były skore do wojny, że Anglja szczególniej gdyby przyszło do dobycia broni, nie byłaby na to pozwoliła, wychodząc ze zdania, że Polacy wolą być wszyscy pod Moskwą niż podzieleni. Anglja była zresztą ujęta przez Moskwą obietnicą pewnych ważnych dla niej posiadłości na kontynencie.

(C. d. n.)

*) Lelewel w „Polsce odradzającej się“ wspomina o tych adresach ciekawy fakt: Dla zebrania tych adresów sam ks. Adam Czartoryski na jakiś czas pospieszył do Warszawy. Gdy z podniety ks. Adama poczęto zbierać adresy, znalazł się jeden zacny mąż, Ludwik Bujno podprefekt departamentu siedleckiego, który zwołał swoją radę i przedstawił gotową protestację przeciw podobnemu zbieraniu adresów do podpisania panom radcom, co nastąpiło. Treść protestacji była ta, że „rada oświadcza, że naród obowiązany do króla księcia (Fryderyka Augusta) od niego nie uwolniony, nie mając nic przeciw niemu wyrzekać się go nie może“. Za przykładem siedleckiego wszystkie departamenta podobnie odpowiedziały. W skutek tego ks. Adam prawdziwie po moskiewsku obszedł się z tym obywatelem prawym. Bujno księciu wprost powiedział: „Domagać się p a n a przez doprosy jest przeniewierstwem.“

**) *Charles Hoffman. „Coup d'oedil sur l'état politique du royaume de Pologne, sous la domination russe pendant les quinze années, Paris 1832.“*

Żywot i pisma Karola Balińskiego.

III.

(Ciąg dalszy.)

O powołaniu poety w ogólności, a swem w szczególności stanowisku rozpisał się szerzej w prywatnych poufnych listach, i dla tego poczynimy z nich obszerne wyjątki. W liście z dnia 30 października 1858 pisze:

Jeśli mam talent jaki, jeśli mam, to go mam od Boga, jest to więc rzecz niemoja tak samo, jak B... (miejsce zamieszkania) nie jest

twoją, jak dzieci twoje nie twoje są, ale Boże. Wszystko Boże — i to tylko nasze jednem słowem, co my z tych darów bożych, z tych dzierżaw dozwolonych nam, poczciwą pracą na korzyść naszą i bliźnich naszych obrócim — to tylko nasze, co powiększa nasz majątek moralny naszą istotę, naszą wartość chrześcijańską.

Kto dar boży dla siebie tylko bierze i z niego się nad braci panoszy, nędznikiem jest i złodziejem skarbu bożego, choćby miał tyle wieńców na głowie, ile ich Mickiewicz w swej improwizacji podeptał. Mam w Bogu nadzieję, że takim grzechem przeciw nikomu nie zawinię — tem bardziej przeciw tobie, mój drogi.

Zaś co do zasług, o których mówisz, równie szczerze wyznam ci to przed Bogiem, że do nich się wcale nie poczuwam. Całą zasługą moją, żem szczerze szukał prawdy, chociaż niestety! po błędnych drogach. Lecz choćbym miał nawet największe zasługi, jeszcze by mię to wcale nie upoważniało do wywyższania się nad braci. Kto z korca się wychyla, tego strychulcem w łeb, mawiali przodkowie i dobrze mówili, choć nieco rubasznie. Toż to nas zgubiła ta pycha pogańska!

Nareszcie mój drogi zaprotestować jeszcze muszę przeciwko temu nieszczęsnemu podziałowi ludzi na poetów i prozaików. Jako Polacy wszyscyśmy poeci. Przestaje być Polakiem, kto przestaje być poetą. I tak dobrze może i powinien być poetą polski hreczkosiej, jak kto inny — ja nawet powiedziałbym, że bardziej jeszcze powinien jak ktokolwiek.

Alеż bo być poetą, to się niekoniecznie znaczy być pisarzem — poetą był każdy szlachcic polski za czasów prawdziwego życia Rzpltej, bo wszystko łożył za wiarę. Hetmani nasi i królowie pisywali ogromne przecudne poemata szablą — życiem — a księża tacy jak Kordecki i Marek krzyżem. Byli to wszystko najwyżsi i prawdziwi i jedynie prawdziwi poeci. Od chwili, gdy polska szlachta przestała poczuwać się do obowiązku bycia poetą życiem, poezja spadać zaczęła coraz niżej a z nią i naród i nastąpiła koniecznem następstwem śmierć polityczna krok w krok za upadkiem ducha, czyli za wygaśnieniem w duszach poezji, idąca. Życie rozdzieliło się na słowo i czyn — zamiast być jednością nierozdzielną. Pisarzom włożono pióra do rąk i wypędzono ich na obłoki — pozwolono im marzyć przy księżycu i duby bredzić jak błaznom — odsądzono ich od praktyczności ale dano im za to wieńce, kazano im bawić publiczność, ale zabroniono im wtrącać się do życia czynnego, które nazwano prozaicznem. I byli tacy poeci — dużo ich nawet, co się na to zgodzili — i są jeszcze do dziś — ale to są tylko kuglarze, a nie poeci. Jakie ztąd wyszły szkody dla narodu, niepodobna dostatecznie opisać — każdy jednak poważnie i głęboko patrzący na to, co się dziś dzieje przyznać musi, że taki podział jak każdy podział na kasty, powinien już przestać istnieć. Dużoby pisać o tem było. Muszę więc tylko ograniczyć się na prośbie, iżbyś mię albo z szeregu warjatów, to jest ludzi mieszkających na księżycu — ludzi nieludzi, wymazać raczył, albo żebyś zgodził się na to, że poeta, pisarz czy śpiewak, tak samo praktycznym być nietylko może ale koniecznie powinien tak samo jak rolnik, a rolnik tak samo poetycznym jak poeta czy śpiewak. Poezja! a cóż ona innego jeżli nie ta wieczna i niczem nienasycona tęsknota ku coraz wyższemu życiu — ale tęsknota czynna, próbująca, pracująca, walcząca na każdem polu życia, jak kto może, byle zacnie, byle pobożnie.

a w liście z 9 sierpnia 1861 pisze w ten sposób o przykrościach zawodu poetyckiego:

Co tu pokus, co tu niebezpieczeństw dla duszy! co za odpowiedzialność przed Bogiem i narodem za każde słowo! A cóż dopiero, gdy przyjdzie stawać wbrew jakiemu fałszywemu, zgubnemu pędowi całego narodu! Przypomnijcie sobie onych izraelskich proroków czyli poetów bo to jedno jest, kamienowanych i piłowanych przez naród obłąkany. A naród ten z naszym tak wielkie ma podobieństwo dziejowe. Dziś wprawdzie nie rzucają kamieniami na ciało, nie piłują ciała, ale małoż to nam się dostało kamieni duchowych, małoż to nas napiłowano się obelgami, potwarzami, fałszami najbezecniejszemi! Wy ani wiecie, co wycierpiał Mickiewicz albo Goszczyński.

Jeżeli zauważamy, że ›Bratnie słowo‹ jest mimo znacznej objętości wierszem przygodnym, to widzimy, że Baliński od roku 1854 nic prawie nie pisał, t. j. wierszem (bo o obszernej pracy historycznej, która go wówczas zajmowała, wspomniemy później). Rozwiązanie tej zagadki znajdziemy poniekąd w następnych słowach, wyjętych z listu do K. W. Wójcickiego:

Trzeba się życiem ku prawdzie podnosić
I świętym ogniem przejąć tak ofiarnie,
Aż płomień serce w całości ogarnie,
I tam spaliwszy powoli do szczętu
Ostatki kału światowego mętu,
Ostatki ziemskich samolubstwa śmieci,
Niebieską światłość do koła roznieci;
Lecz póki w sercu dużo jeszcze pleśni,
Nie tykać lutni, nie podnosić pieśni!

Dopiero w roku 1859 wziął znowu pióro do ręki. Różne projekta snuły mu się po głowie, mianowicie chciał pisać coś w rodzaju historji polskiej dla młodzieży, co nazywał testamentem. Świadczy o tem przytoczony tu urywek z listu z dnia 12 kwietnia 1860 r.:

Myślałem już nieraz o napisaniu dla dzieci Antka, dla moich synowców rodzaju testamentu. Jeszcze myśl ta stałych kształtów nie przybrała. Dotąd marzy mi się tylko jakaś pieśń serdeczna do młodzieży — pieśń, w którą chciałbym wlać tyle miłości do tej przeszłości naszej, a zarazem i tyle rozwidnionych już przedemną tajemnic tej skarbnicy, tej kopalni nieprzebranej, że — jeśli Bóg pobłogosławić mi raczy — będzie to przewodnik dla wszystkich dzieci naszych — przewodnik do Matki. Mówię ci dziś o tej myśli mojej w kilku słowach tylko, bo czyż warto mówić o rzeczy śniącej się dopiero. Wprawdzie dawno już ta myśl mię napastuje, ale zawsze tyle przeszkód, że o wykonaniu, a nawet o samem choćby tylko zabraniu się do tej pracy ani myśleć! A tymczasem dzień po dniu uchodzi, rok po roku — coraz dłuższa droga za nami, coraz bliższa, krótsza przed sobą — do grobu. Pocieszać się muszę, że ktoś godniejszy i szczęśliwszy myśl tę moją przeprowadzi za mnie do skutku — szczęść mu Boże! Mniejsza kto spełni — byle była spełnioną — boć historji i historyków niby mamy dużo, a tymczasem istota starej Polski leży wciąż martwo, zagadkowo, tajemniczo milcząca — jak mumia lub sfinx.

Podczas dwumiesięcznego pobytu w Szwajcarji, a mianowicie w Einsiedeln napisał Baliński ›Pieśń do Bogarodzicy‹ aby jak to pisze w liście z dnia 18 kwietnia pomienionego roku, ›powiedzieć (ile sił Bóg mi dać raczy) narodowi całemu, co to jest prawdziwa cześć Marji Panny — jak ją czcić należy — jakiej czci żąda i że w takiej jej prawdziwej czci jest całe i jedyne zbawienie nasze.‹

Że służba ta nie w próżnej dewocji się zakłada, świadczą o tem i liczne ustępy samych wyjątków, które były drukowane i w ogóle cały sposób zapatrywania się Karola.

Poemat ten jest dość duży, bo mógłby obejmować koło dwudziestu arkuszy druku. Spoczywa on do dziś dnia w rękopiśmie. Wewnętrzny układ ani nawet treść sama nie są nam znane. Było zdaniem autora, że w razie, gdyby miał być drukowanym ten poemat, należałoby zmodyfikować niektóre zbyt ostre wyrażenia o pewnych warstwach społecznych.

Jeden z początkowych ustępów był zamieszczony w roku 1861 w nr. 18 Niewiasty, pod tytułem: ›Czasy piastowskie‹ (okropnie go poobcinano, a autor żalił się, że mu rzecz bardzo oszpecono a nawet częściowo przekręcono). Przedstawia w nim rodzącą się Polskę, u stóp kolebki zjawiają się dwa duchy, czarny i biały. Czarny w postaci cesarza niemieckiego wkłada koronę i płaszcz cesarski, mówiąc:

Tak tyś jest moje, tyś cesarskie dziecię.

Biały zaś radzi odrzucić oznaki godności cesarskiej a przyjąć misję rycerza chrześciańskiego. O tem tak się wyraża w liście z dnia 27 maja 1862 r.:

Drugiemu zaś mojemu braciszkowi serdecznie dziękuję, że się tak przejął „Czasami Piastowskiemi“ a raczej „Urodzinami Polski“, świętej naszej Ojczyzny, której dziś nie ma na ziemi, która dziś jest w niebiesiech, ale która zejdzie z niebios, zstąpi na ogromną ziemię naszą, objawi się widomie światu i żyć będzie stokroć jeszcze świetniej niż niegdyś, ale to dopiero wtedy nastąpi, dopiero wtedy, mój drogi, gdy pewna ilość Polaków (a Bogu tylko jednemu liczba ta wiadoma) postę-

pować zawsze będzie tak jak biały radzi, a nie jak czarny, bo biały to anioł stróż nasz, który bardzo płacze i odchodzi od nas, gdy słuchamy czarnego — bo czarny to brzydki, to zły, to wróg Boży — nieprzyjaciel wszystkiego co białe, co czyste, co miłościwe i miłujące. — O brzydźmy się mój kochany wszystkiem, co ten czarny doradza, choć by to z pozoru było najsłodsze i najmilsze. Ostrzeże cię zawsze o tem głos białego, głos anioła w duszy twojej, głos bardzo podobny do głosu matki twojej, choć go uchem nie usłyszysz. Tak, braciszku mój drogi, brzydźmy się tem wszystkiem, co nam czarny podsuwa, nie słuchajmy go nigdy, ale do czarnego tego doradcy nie miejmy złości, żałujmy go tylko, bo on bardzo nieszczęśliwy, gdy jest takim niedobrym, takim nieprzyjacielem naszym. Róbmy zawsze biało, żyjmy biało, to jest szerzmy białość czyli czystość, miłość, świętość na około — a doczekamy się, że i sam czarny musi zbieleć nareszcie. Kiedyś, kochany mój, szerzej i głębiej o tem pogadamy — teraz tylko o tem pamiętaj, że brud wszelki czyli wszelki zły uczynek, wszelka nawet czarna myśl jest grzechem wielkim, bo jest przeszkodą Ojczyźnie twojej Polsce do zstąpienia jej na ziemię. Wszak rozumiesz mię?

Zwracamy uwagę czytelnika na wyrażenie »że i sam czarny musi zbieleć nareszcie«. Jest to jednym z artykułów wiary Balińskiego, który też i na innych miejscach wypowiedział a najdobitniej w »Haśle«:

Precz szatanie, w piekło precz,
Aż przez Polski święte dzieje
I tam znak nasz zajaśnieje.

Pod »znakiem«, jak całość okazuje, należy rozumieć krzyż.

Równocześnie pojawiły się pojedyńcze ustępy w dalszych Nr. Niewiasty i w Dzienniku lit. Luźne te wyimki świadczą o wysokiej wartości całego utworu. Gdyby chodziło o sklasyfikowanie go, zaciągnienie pod pewną znaną ustaloną kategorję poezji, nie umielibyśmy na to zagadnienie odpowiedzieć. Nie jest to opowiadanie w rodzaju epicznym, ani też czysta liryka. Najprędzej może zgodzić byśmy się mogli na nazwę dydaktycznej poezji, byle tylko pod tem nie chciano rozumieć oschłych rozumowań w formie poetycznej, a którym ona po największej części nie do twarzy, ani stawiano na równi z ars poetica Horacego, Boala lub czemś podobnem. W samym toku wiersza i wyrażenia się również wielka różnica. Nie ma tu ani kwiecistości w rodzaju Słowackiego, ani owej po nieprzystępnych zwykłym umysłom ludzkim ślakach latającej myśli Krasińskiego (któremu pod względem idei był może najbliższym), ale jest niezwykła jędrność, jasność, potoczystość, zrozumiałość. Baliński nie odziewał swych ideji w styl świetny (choćby go było stać na to), lecz owszem starał się być jak najprostszym a razem jak najzrozumialszym.

O pismu temu przewodniczącej ideji nie wspominamy nic, gdyż jest to ta sama nauka miłości, jaką i w innych pismach wykładał. Ze wszystkiego jednak godzi się wnioskować, że »Pieśń do Bogarodzicy« będzie najpiękniejszym poematem Balińskiego. Przypominamy tu tylko ów pierwszy wyimek w Dzienniku Literackim o Skardze i ks. Marku, gdzie zdanie, że naród jest naturalnym organizmem społecznym, tak wypowiada:

Bracie, budowę twej ziemskiej Ojczyzny
Nie ziemski stawiał cieśla, lecz niebiański,
Nie jak Cezarów kruche robocizny,
Lecz na wzór boży, na wzór chrześcijański,
Cudnem wiązaniem on połączył społem
Kościół z Ojczyzną, Ojczyznę z Kościołem.

Żeby zaś Kościoła nie wzięto w znaczeniu hierarchji tylko, tak mówi dalej:

A krzyż to Boży, krzyż to Chrystusowy
Był duszą, życiem całej tej budowy.
Krzyż — nie ten z drewna, ni śrebrny, ni złoty,
Nie ten Twój martwy; lecz pełen istoty
Krzyż — to jest owa modlitwa z Ogrojca,
Pełnienie woli niebieskiego Ojca,
Ofiara ducha i ciała i czynu,
Cały Twój żywot ziemski Boży Synu!
Krzyż, bez którego fałszem wszelka droga,
I bez którego Kościół — synagoga.

W którymś z owych wyjątków uderzył nas następujący czterowiersz:

Wszak najlichsza jątka w świecie
I to jeszcze twoje dziecię;
Od robaczka do człowieka
Równo czuwa Twa opieka.

To postawienie człowieka na równi z innemi stworzeniami w obec Boga, równie jak jeszcze parę ustępów, których sobie teraz przypomnieć nie możemy, każą wnioskować, iż Karol także hołdował pojęciu, że każda rzecz ma swego osobnego, czującego i działającego ducha. Zapatrywanie to (musimy to wyznać) jest dla nas niezrozumiałe; mimo to jednak nie możemy się wstrzymać od przytoczenia pary podobnych ustępów z innych pisarzy. I tak Sew. Goszczyński mówi:

»Cóż nas upoważnia twierdzić, że skała także, że kamień nie ma także swego ducha«.

Krasiński w »Poemacie niedokończonym« pisze:

»A seraf czy kamyk dostał w podziele byt, dostał w podziele myśl, dostał w podziele i życie.«

Lamartine zaś w »Chûte d' un Ange« rzecz tę tak wyraża:

Et l'insensé (homme) pensait déjà comme aujourd'hui
Que l'ame commençait et finissait en lui,
Comme si du Très-Haut la largesse infinie,
Epargnait la pensée en prodigant la vie,
Et comme si la vie avait un autre emploi
Père, que de t' entendre et de parler a toi.

(I zaślepiony [człowiek] myślał już jak dzisiaj, że dusza się zaczynała i kończyła na nim, jakby Najwyższego hojność nieskończona szczędziła myśli rozrzucając życie, i jakby życie miało inne przeznaczenie, Ojcze! jak Ciebie słuchać i mówić do Ciebie.)

Nareszcie przypominamy, że to samo pojęcie właściwem było starożytności, która nic innego nie wyrażała, każąc w każdem kamieniu, w każdem drzewie zamieszkać jakiejś Nimfie, Dryadzie i t. p.

I znów ubiegły dwa lata. Z początkiem roku 1861 wypadki 22 i 23 lutego jak gromy powietrze tak oczyściły duszną dotychczas atmosferę polityczną i wzruszyły wszystkie serca polskie. Cały naród zadrgał nowym ruchem. 8 kwietnia i zaraz po nim śpieszące wypadki dodawały tylko żaru do ognia. — Łatwo pojąć, jakie wrażenie zrobiły one na Karolu. Bohaterkę tego ruchu, Warszawę, temi wita słowami:

I ujrzałem cię płomienne
Serce mojego narodu,
W miłości swojej bezdenne;
Ujrzałem cię męczennico,
Z boską na czole oznaką,
Prawdziwa ducha stolico,
Gwiazdo ludzkości pochodu;
Ujrzałem cię taką, taką,
Ach! o jaką przez lat tyle
Dniem i nocą, w każdą chwilę
W niegodnej modlitwie mojej
Jęczę u niebios podwoi;
Ufającą tylko Bogu,
Miłościwą — nawet wrogu,
Pośród rzezi — niestrwożoną,
Pośród pokus — nieskuszoną,
Pośród trwogi — niezachwianą,
Pośród piekła — nieskalaną,
Z sercem dziecka — z siłą męzką,
Umęczoną — a zwycięzką.
O ty czysta krwi narodu
Uświęcona taką wiarą!
Zbawiennego pełna płodu,
Chrześcijańska ty ofiaro!

W czci największej i pokorze
Przed tobą we łzach się korzę,
O święta, męczeńska krwi
Pokłon ci! pokłon ci!

A z okazji ›Niewiasty‹ tak pisze:

Ot tam — tam dziś moja droga — na tym bruku zakrwawionym, przy tych krzyżach i figurach świętych po ulicach, w tej żywej a czystej, rzec nawet można: świętej ofierze narodu, każde dziewczę polskie znajdzie najlepszą, najmędrszą, najwymowniejszą szkołę i naukę i wzór. Każdy dziś dziennik, opisujący wiernie wypadki z dni lutego i bieżące, jest najlepszą pedagogiką narodu polskiego. Niewiasta polska a bohater chrześcijański — to dziś jedno! to już nie czcze słowo, to już nie czcze marzenie, to już nie pisana poezja, ale poezja rzeczywista — dotykalna — obleczona w ciało — objawiona czynem męczeńskim, ponoszonem bez nienawiści, bez chęci zemsty, owszem z miłością, bo z pragnieniem dobra tych samych siepaczy — z miłością wołającą do Boga „przebacz im o Panie, bo oni nie wiedzą, co czynią!"

Uwierzycie mi, jestem pewny, bo wiem, że to samo czujecie, że o niczem innem mówić, o niczem pisać, o niczem innem myślić dziś nie mogę, tylko o tej przezacnej stolicy naszej, którą Bóg w najwyższem miłosierdziu swojem taką świętą natchnął siłą, tak wysoko nad cały naród rozćwiertowany i nad całą ludzkość wyniósł, wywyższył! aby i narodowi i ludzkości pokazał wzór bohaterstwa chrześciańskiego. Mimo więc, że całem sercem podzielam cierpienia narodu mego, a w szczególności tej prawdziwej stolicy Polski, dziękuję Bogu ze wszech sił za tę boleść naszą, a raczej za tę siłę, którą natchnął naród nasz w stolicy tej, do zniesienia tak święcie tego męczeństwa. Im bardziej wpatruję się w to, co się tam stało i dzieje, tem wyraźniej widzę łaskę Bożą nad nami, tem bliższem mi się widzi po tem duchowem odrodzeniu już i cielesne zmartwychwstanie nasze. Modlę się tylko z głębi duszy do Ojca w niebiesiech, aby ten sam święty ogień miłości, który aż nawet żydów siłą swoją niebieską pociągnął ku sobie i chrześcijanami z ducha uczynił, aby ten ogień święty stopił raz przecie w jedno, serce pana z chłopkiem! Oto nasza praca najpilniejsza! oto nasze zbawienie ziemskie i zagrobowe.

W zachowaniu się Warszawy w pierwszych chwilach widział Baliński ideał postępowania narodu nie dla tego, jakoby zachowanie się takie było biernem i on je z tej przyczyny pochwalał, bo co o bierności myślał, zobaczymy zaraz później — ale dla tego, że upatrywał walkę duchem, zwycięztwo tegoż ducha tak świetnie manifestujące się w zhołdowaniu sobie nawet samych Moskali, a bez której to duchowej siły i jedności czysto tylko materjalne zwycięztwa nie na wiele się przydadzą.

Pod takiemi wrażeniami napisał Baliński w przeciągu kilku dni ›Hasło polskie‹. Treść wzięta z wypadków 8. kwietnia. Ranny uratowany przez rybaka i pielęgnowany w jego chacie rozpacza już niejako o swem położeniu i przyszłości, na co mu niewiasta przedstawiająca tu całą, nie rozumem lecz sercem sprawę narodową pojmującą, część narodu, odpowiada.

Na co żyłeś?...
Więc jak dziecku mówi matka,
Niewiasta mówi mężczyźnie:
Aby aż do tchu ostatka
Służył Bogu i Ojczyźnie.

Tem powiedzeniem do życia, bo do wiary w sprawę, przywrócony mężczyzna opowiada w prześliczny sposób rzeź z 8. kwietnia (wyjątek był drukowany w nr. 4. Dziennika Literackiego z r. 1862), poczem nawiedzają go różne pokusy. Pierwsze widmo nazywa występowanie z modlitwą na ustach ›mądrym lepem dla przyciągnienia nieukształconego ludu‹ i radzi brać się do oręża. Drugie pokazuje pieniądz, jako jedyną drogę do szczęścia i reasumuje swe rozumowanie w ten sposób:

Synu Skarbków skrzydła precz,
Co ci tam przeszłości wrzask.
Do mnie, za mną, tu twój miecz,
Nieustanny potok łask
Dukatowy sieje blask.

Trzecie wzywa wprost do skruszenia ›znaku Barskiego‹, a rzucenia się w objęcie carskiego panslawizmu. Wszystkie jednakże nic nie wskórawszy odchodzą. Nareszcie ukazuje się czwarte najobrzydliwsze ze wszystkich, bo pozornie w szaty religji ustrojone, a już nie wprost zabijające ale trujące ducha narodu. Mówi ono:

Módl się grzecznie i przykładnie
Po cichutku, w duchu, skrycie
— — — — — — —
I tak módl się całe życie.
Nie badajcie mąk przyczynę,

bo wy cierpicie za grzech ojców, w was nie ma winy, nie macie się z czego poprawiać. Cierpienie dziś waszą zasługą, celem waszym,

Cierpcież cicho, martwo, biernie!

I tu pokusa na próżno. Mężczyzna odpędza ją

W imię tego, co zszedł z nieba
I wybawił ludzkie plemię,
Bo pokazał jak żyć trzeba.

A niewiasta w modlitwie do Matki Boskiej woła, ›że jarzmo nasze z win naszych‹ a gnębi nas tylko na to mało,

Byśmy nie zasnęli w grobie,
W śmierci nie zasmakowali,
Ale wciąż szukali winy
Już nie w drugich, ale w sobie
I odkrytą zmazywali.
— — — — — — —
Najwyższym życia objawem
Czcić cię mamy nie martwością,
Wolność nam nietylko prawem
Lecz najświętszą powinnością.
— — — — — — —
Kto nie bada mąk przyczyny,
Kto przywyka do obroży,
Popełnia winę nad winy,
Bo urąga mocy Bożej.

Z przyczyny tego ustępu niech nam wolno będzie zkonstatować jak bezzasadnem jest twierdzenie tak często głoszone śród emigracji, że Baliński wszelką nadzieję narodową, wszelkie obowiązki pojedyńczych ludzi upatrywał w jakiejś idealnej rozstrajającej może modlitwie, biernem doskonaleniu się, kiedy on przeciwnie żądał od każdego przedewszystkiem wypełniania obowiązków, a wypełniania ich w sposób najgodniejszy, bo z zupełnem przejęciem się świętością sprawy; przypominamy też tu ulubiony Karola dwuwiersz z ›Kochanków nieba‹:

Bóg pomaga tylko temu,
Kto sam walczy przeciw złemu.

Uważając każdy czyn za wcielenie pewnej idei — ducha, każe pierwej ducha tego wywabić, i słusznie, bo to jest logiczny porządek rzeczy.

Po tych pokusach, niejako w nagrodę za ich przebycie, następuje wizja: ukazuje się znany nam już z ›Bratniego Słowa‹ hetman, ›Sława Bogu‹, i ucieszony wypadkami warszawskimi rozwija chorągiew z napisem ›Chrystus górą‹ (że hasło to ma oznaczać istotny kierunek ruchu narodowego w pierwszych miesiącach 1861 r., zdaje nam się, tłumaczyć nie potrzeba): cała Polska przyjmuje to hasło. — Poemat kończy się sceną podobną do wizji, zakończających ›Przedświt‹ lub ›Dzień dzisiejszy‹. Choć myśl jedna, to mimo to jednak przejęcie jej oryginalne i przeprowadzenie duchowi poety i jego stanowisku odpowiednie.

Hasło jest poematem przeważnie lirycznym, choć w formie dramatycznej. Bardziej niż inne utwory Balińskiego wygląda ono po pierwszem przeczytaniu bardzo proste, bardzo zrozumiałe a nawet prawie bez wdzięku napisane. Dopiero głębsze wczytanie się odkrywa mnóstwo piękności z początku niespostrzeżonych, mnóstwo prawd wielkich, choć w zwykłe słowa odzianych. Dla tak rzecz rozumiejącego nabiera ono nadzwyczajnego uroku i pociąga bardziej niż niejedna poezja upstrzona kwiatami wyobraźni a w gruncie chłód miasto serdecznego ciepła kryjąca.

(D. c. n.)

List Zygmunta Miłkowskiego.

(Dokończenie.)

Rzeczywiście, rozpatrzywszy się pilnie w położeniu Polski, w jej stosunkach, potrzebach i zasobach, jawnem się staje, że niczego nam nie brakuje, tylko wiedzy, któraby za jednym razem dwie ojczyźnie naszej oddawała usługi: zewnętrzną i wewnętrzną.

Na zewnątrz wiedza byłaby potężnem ramieniem, podtrzymującem nasze prawa — potężniejszem niż wszelkie protestacje, manifestacje i reprezentacje. Polskie nazwiska, postawione obok naukowych niemieckich, francuskich, angielskich powag, świadczyłyby nieustannie o żywotności narodowej, o moralnych zasobach, o szkodzie nakoniec jaką ludzkość poniosła, przez wytracenie z pomiędzy żyjących narodu, mogącego dodatnio i czynnie postępowi służyć. W tym względzie mamy zwyczaj odwoływać się do przeszłości, wywoływać z grobu cień Kopernika i nim się świadczyć. Na tem nie dość. Przeszłość ma swoje prawa, ale ma swoje i teraźniejszość. Niegdyś przyłożyliśmy polanko do ogniska powszechnej oświaty; lecz słusznie mogliby nas obcy zapytać: „cóż dla niej dziś czynicie?“ Co? — nic. Wleczemy się za innymi zdaleka. A moglibyśmy innym kroku dotrzymywać. Świadczą o tem gieniusze, jakie w ostatnich czasach Polska na polu piśmiennictwa wydała, gieniusze dowodzące siły i zasobności polskiego ducha, któremu kiedy stać na skoki, to stačby także było i na powolny chód, kiedy stać na twórcze w sferze piękna natchnienie, to stačby także było i na natchnienie pracy w sferze dobra i pożytku. Czemuż, obok Słowackich, Mickiewiczów i Krasińskich, nie możemy wymienić filozofów, filologów, prawników, historyków, naturalistów, matematyków, ekonomistów, technologów, medyków, etc. etc. etc.? — Czemu? — Bo się nie uczymy dla ojczyzny — bo wiele dla niej czynimy, tylko się nie uczymy — bo cel nauki, jedyny dla nas w wyjątkowem znajdujących się położeniu, znika z przed naszych oczów w obec roztargnień, szkodę nauce, a przez nią i sprawie, w wyborowym młodzieży zastępie, przynoszący.

Wytłumaczę to dokładniej.

Uczący się, w każdym naukowym zakładzie dzielą się na dwa rodzaje: na uzdolnionych i nieuzdolnionych. Zkąd to pochodzi? Nie tu miejsce nad tem się zastanawiać — dość, że tak jest. Uzdolnieni przyswajają sobie naukę prędko i z łatwością, nieuzdolnieni powolnie i z trudnością. Rozwój nauki, posuwanie jej naprzód polega na pierwszych, a zależy od właściwego zużytkowania czasu, który im od obowiązkowych pozostaje zajęć. Na cóż u nas obracają ten czas? — Uderzmy się w piersi. Konspirowanie nie zabiera go całkowicie, odciąga jednakże od naukowej pracy tych właśnie, którzyby najużyteczniej pracować mogli. Niepełnoletni mężowie stanu — zrobili co do nich należało — ułożyli program i plan i, poczuwając się do prawa *anticipative* na przyszłych spocząć laurach, trwonią drogi czas po kawiarniach, cukierniach, knajpach i miejscach zepsucia. Nauka schodzi na drugi plan — na to jedynie, aby posłużyła przy egzaminie. Wchodzi więc do głowy na moment, nie lokuje się w mózgu i ulata, pozostawiając po sobie trochę połysku, niekiedy dużo zarozumienia. *Primus* szkolny, dzięki temu połyskowi i zarozumieniu wychodzi nierzadko na hebesa w życiu, służąc ogółowi jako żywy przykład nieużyteczności nauk. „Patrzcie — powiadają — oto ten, miał zdolności wielkie, wytrzymał egzamen wybornie i cóż z tego za korzyść!“... Uronioną przez zdolniejszych naukę podejmują mniej zdolni, którzy, chociażby tylko w celu popisu przy egzamenie, pilnowali książki i unikali dystrakcji. Ci pracują — kują — uczą się: ale — cóż z tego!.. Wyuczają się z książki, powtarzają *verba magistri* i — na tem koniec. Umysłów ich nauka nie zapładnia. Nie wydają oni owoców. Wychodzą z nich nieźli prawnicy, nie najgorsi lekarze, nie najpośledniejsi inżynierowie, nie najniezdarniejsi pedagogowie, w ogóle biernoty, znający swoją rzecz *expedyte* lecz nie zdolne ani naukę posunąć naprzód, ani z zagranicznemi spółubiegać się specjalistami i przed trybunał świata wytoczyć sprawę polską, jako sprawę postępu, obchodzącą ludzkość całą. Pozwolę sobie na pewne przypuszczenie, z którego zrobię przykład dla poparcia tego, co wyżej napisałem Czy, naprzykład, Proudhon śmiałby się targnąć na nasze prawa, gdybyśmy mu sypnąć mogli w oczy paru tuzinami naukowych uznanych powszechnie powag?... Zuchwały sofista nie mógłby przed taką manifestacją polskiego ducha czołem nie uderzyć i nie być oględniejszym w wydawaniu wyroku zagłady na naród, przyczyniający się dodatnio do doskonalenia ludzkości.

Przejdźmy teraz do wewnętrznej usługi, jaką wiedza oddać nam w stanie.

Kraj nasz i naród opatrzność uposażyła bogato. Możemy powiedzieć jak Nowogrodzianie, gdy waregskiego wojownika na księcia wzywali: „ziemia nasza bogata i zasobna, ale porządku w niej nie ma.“ Zaiste — i u nas porządku nie ma, nie tego powierzchownego, przymusowego, formalnego, zależącego na zadość-czynieniu pewnym niekoniecznie dogodnym i potrzebnym przepisom, ale wewnętrznego, duchowego, istotnego, zależącego na skupieniu sił moralnych około pewnej idei, i nie grzeszeniu przeciwko niej ani myślą, ani słowem, ani czynem.

Idea, jak dusza, z Boga wciela się w naród. Do świadomości narodu przechodzi przez szkołę — i w tym względzie szkoła jest jej kolebką. Tam ona urasta i mężnieje i ztamtąd występuje przed naród w całej swojej wspaniałości. Nauki i wszelkie nauk gałęzie, poezja, literatura, sztuki piękne, rolnictwo, przemysł, handel, słowem wszystko co jest objawem narodowego ducha i oraz służy do zaspokojenia moralnych i materjalnych potrzeb narodu, szykuje się za nią niby przyboczna straż, niby służba wierna, podnosząca ją na ramionach wysoko do góry. O tyle jest ona poważniejszą i pewniejszą i większą, o ile straż owa jest silniejszą.

Z tego wynika, że, ażeby otoczyć ideę-ojczyznę służbą, któraby uczciwie i rozumnie pełniła powinność swoją, potrzeba jak najwięcej uczciwości i rozumu.

Więc, czy to weźmiemy Polskę, jako przedmiot czysto moralny — kapitał serca i rozumu — czyli też jako ciało — kapitał ziemi i rąk i grzbietów: ażeby kapitały owe nie pozostały martwemi, potrzeba naprzód i przedewszystkiem wiedzy, ale wiedzy nabytej w warunkach „uczenia się dla ojczyzny.“

Jednostka, posiadająca wiedzę, jest potęgą. Promienieje ona do koła i oblewa blaskiem sferę, w której promieniami strzela; wynosi ze sobą szkołę na zewnątrz i staje się apostołem nauki, którą szerzy bezwiednie dla tego samego że ją posiada, wydzielając z siebie światło, jak słońce, dla tego że ma je w sobie. Wiele, ogromnie wiele zyskałaby na tem Polska, gdyby takich jednostek było dużo, gdyby stały się one tem, czem są nasienniki na porębach, siejące nasiona, od których wycięty las znów wyrasta. Porównanie to wybornie zastosować się daje do obecnego stanu naszego społeczeństwa. Na gruncie polskim tyle gospodaruje siekier, podrębujących polskość wszelkiemi możliwemi sposobami! Nasienniki przeto bardzo są potrzebne i to we wszystkich rodzajach, odnoszących się tak do ścisłej naukowości, jako też do naukowości, zastosowanej do prywatnego i publicznego życia i do wszelkich rodzajów społecznej działalności. Gdzie tylko tkniemy, wszędzie potrzebną jest wiedza: w stosunkach ludzi z ludźmi, w rolnictwie, handlu, przemyśle, w ustawodawstwie, administracji, obchodzeniu się z groszem, nieledwo w modlitwie — a tem dokładniejsza, głębsza i obszerniejsza, że pod tym względem panuje u nas odmęt, tłumaczący się przysłowiem „co głowa to rozum“, lecz rozum, niestety! bardzo nie głęboki.

Niedawno w jednem z pism krajowych spotkałem się z rozprawą, podnoszącą potrzebę kształcenia się w kierunku przeważnie materjalnym i utyskującą na idealizm, który pracę umysłową z uszczerbkiem nauk realnych, sprowadził na pole historycznych i paleograficznych badań, poezji i powieści. Nic słuszniejszego jak to domaganie kształcenia się, nic niesłuszniejszego jak to utyskiwanie. Wyjąwszy jednej poezji, która, niby kwiat aloesu, wystrzeliła na świadectwo potęgi ducha polskiego, historja, starożytnictwo, powieść nie kwitną u nas tak, ażeby dawały do utyskiwania powód. Nie zagłuszają pola pracy umysłowej, bo nie stoją wyżej jak naukowość techniczna. Ta ostatnia nie ma czego tamtym zazdrościć. Nie mamy Macaulay'ów, Tierry'ch i Michelet'ów, ani Dickensów, Thackeray'ów, Hugów, Sandów, Dumasów. Historja i powieść, jak polityczna ekonomja, prawoznawstwo, nauki przyrodnicze, technologja, medycyna itd. na jednej i tej samej znajdują się wysokości, a ta wysokość ledwo, ledwo dochodzi wyrostu miernego. Przyczyna temu, według mnie, bardzo jest prosta i naturalna. Jest nią ogólne zaniedbanie nauki. Ztąd pochodzi, że co do stosunku, jaki pomiędzy piśmiennictwem nadobnem a specjalizmem naukowym zachodzi, stoimy tak samo jak Anglicy, Francuzi, Niemcy, a stoimy od tych ostatnich o tyle niżej o ile niższą u nas jest naukowa praca w ogólności.

Bo w świecie umysłowym istnieje konieczna harmonja. Pomiędzy objawami ducha w obrębie pewnego narodu ścisły zachodzi związek, opierający się tak na wzajemności nauk, jako też na wzajemności pomiędzy nauką a literaturą. Jedna drugą wspiera, jedna drugą wywołuje i znamionuje. Nie byłaby wydała Grecja Arystotelesa, Euklidesa i Archimedesa, gdyby była nie wydała Homera, Pindara, Herodota, Thucidida. Nie byłaby wydała Anglja Watta i Stephensonów, gdyby była nie wydała Szekspira, Bajrona. Niech nas przeto nie martwi Mickiewicz i Słowacki. „*Ça ira*", bylebyśmy się tylko serjo wzięli do pracy i dobrze jej doniosłość pojęli.

Nad tym przedmiotem ciekawe możnaby zrobić studjum, dowodzące związku pomiędzy nauką, literaturą i sztuką, i wpływu, jaki nauka, literatura i sztuka wzajemnie jedna na drugą i na społeczeństwo wywierają, i stosunku, w jakim do nich społeczeństwo stoi. Zamiast studjum, któreby mnie za daleko zaprowadziło, wezmę przykład narodu, uznanego słusznie za najpraktyczniejszy. W Anglji historja i powieść, stojące bardzo wysoko, nietylko ani trochę materjalnemu nie przeszkadzają rozwojowi, ale przeciwnie pomagają mu i czerpią z niego pomoc. Praktyczna publiczność, nie odrywając się bynajmniej od kupczenia, pracowania w fabrykach, obracania miliardami i myślenia o sprawach publicznych, podtrzymuje srebrnikami nadobne piśmiennictwo, które wywzajemnia się jej przez popularyzowanie wiedzy, kształcenie smaku, rozpowszechnianie poloru i rozwijanie pojęcia. Zresztą najdobitniejszym dowodem praktycznej jego użyteczności jest to, że Anglicy tak mu dobrze płacą, i to także, że umysłowe objawy postępują w Anglji naprzód razem, trzymając się w szeregu ściśle tego, co w militarnym języku nazywa się czuciem. Wynalazki, mające do czynienia z najgrubszą materją, mają czucie do fantazji, bujającej w oderwanym od ziemi świecie. I inaczej być nie może. Stopień ogólnej oświaty, trzymając nauki i literaturę na stopie absolutnej równości, wysnuwa z narodu objawy umysłowe zarówno we wszelkich rodzajach. Nie inaczej dzieje się i u nas. Weźmy inny przykład. W Moskwie rząd faworyzuje nauki ścisłe i w pewnym zakresie realne. Faworytyzm ten jak najgorsze wydaje owoce. Nietylko bowiem nie oddziaływa na oświatę i dobrobyt ogółu, ale nawet nie czyni zadość potrzebom rządu. Gdy mu na myśl przyjdzie most postawić, drogę zbudować lub jakąś znaczniejszą techniczną wykonać robotę, nie znajduje pomiędzy faworytami ludzi uzdolnionych i uciekać się musi do pomocy zagranicy. Powodem takich smutnych rezultatów jest to, że rząd moskiewski. w naukowym programie niektóre nauki wykreślił, niektóre obciął, inne zfałszował. Prześladowane nauki mszczą się na faworyzowanych, trzymając Moskwę na stopie mniej niż umiarkowanej wysokości pod względem nauk, literatury, sztuk i materjalnego rozwoju.

O naukowo-literackiej wzajemności wspomniałem dla tego, ażeby wykazać, że nie masz nauki niepotrzebnej, ani też potrzebniejszej jednej nad drugą. Wszystkie bez wyjątku zarówno są potrzebnemi, wszystkie bez wyjątku oddać są w stanie wielkie ogółowi usługi i — co do nas — stać się narzędziami wyzwolenia.

Jakim sposobem przez naukę wyzwolić można naród: o tem szeroko możnaby pisać. Samo posiadanie nauki w znaczeniu dodatniem i czynnem jest w pewnej mierze wyzwoleniem, jest bowiem wyodrębnieniem indywidualizmu narodowego — wyodrębnieniem, pociągającem za sobą uznanie ze strony innych indywidualizmów. Lecz nie na tem koniec. Wniknąwszy w szczegóły nauk, możnaby wykazać wpływ wiedzy na każdy szczegół działalności społecznej i wpływu tego wyniki. Nie będę jednakże takiemu obszernemu, chociaż nie nader trudnemu, oddawał się badaniu. Poprzestanę na kilku uwagach, do uczynienia których wezmę pierwszą lepszą naukę, która mi na myśl przyjdzie, na przykład: historję. — Słusznie przezwano ją zwierciadłem życia narodów. Gdybyśmy się w tem zwierciadle przejrzeli: czyżby nas nie zjęła ochota poprawić niedostatki, jakieby nam przedstawiła wewnętrzna i zewnętrzna naszego społeczeństwa fizjognomja! Poprawienie niedostatków byłoby nie czem innem, jeno dopełnieniem braków, dotkliwych w momentach rozstrzygających o losie narodowym. Zamyślono by się nad tą kwestją poważnie i rozebrano robotę, rozkładając ją na zbiorowe siły. Znajomość niedostatków poprowadziłaby obywateli kraju na rozmaite pola działalności i zmusiła do odpowiedniego fachowego kształcenia się. Pod wpływem wzniosłego celu „uczenia się dla ojczyzny" wyrobiliby się racjonalni rolnicy, znający swoją rzecz przemysłowce, uzdolnieni fachowce, znakomici uczeni, którzyby kapitał pracy procentowali nie na to, ażeby procenta trwonić na błazeństwa, lecz na to, aby je składać do narodowej skarbony i użyć w stosownej chwili. A w każdej chwili przy danych okolicznościach umieliby się znaleźć, jak tego narodowy interes w połączeniu z narodowem dostojeństwem wymaga, i nie dalibyśmy z siebie smutnego widowiska mężów, którzy w pewnem ustawodawczem zgromadzeniu rozprawiając o prawie wekslowem nie umieli weksla zdefiniować.

Wiedzy więc — wiedzy! — i jeszcze wiedzy!... powtarzam — ażeby się nie znaleźć bez niej w chwili, w której najwięcej wiedzy jest jeszcze nie dość. Należy korzystać z czasu.

Powie mi kto o trudności nabycia wiedzy z powodu niedostateczności szkół i wadliwości naukowego systematu.

Na to odpowiem: Nie masz szkoły dostatecznej ani systemu doskonałego, ale jest sposób dopełnienia pierwszej i poprawienia drugiego — sposób całkowicie będący w rozporządzeniu uczących się. Sposobem tym — własna praca. Najlepsze szkoły nie dają nauki a tylko wprowadzają człowieka na drogę wytyczoną kierowniczemi słupami; najgorsze nie są w stanie tak tę drogę zamarkować, ażeby zupełnie z przed oczu ucznia znikła. W dobrej łatwiej się uczyć, w złej trudniej; oto cała różnica; ale uczyć się można — trzeba pracować, w dobrej szkole w celu rozwinięcia wykładów, w złej i w celu rozwinięcia i sprawdzenia i uzupełnienia. I tu to, w obec złych szkół i wadliwych systematów najdosadniej występuje cel nauki dla polskiej młodzieży, spotęgowany potrzebą własnej a jaknajusilniejszej pracy. Nie posiadamy polskich szkół: musimy więc sami je stworzyć. Stworzyć je możemy przez rozwijanie, sprawdzanie i uzupełnianie wykładów — rozwijanie, sprawdzanie i uzupełnianie, przeniknione na wskróś tą myślą, że się uczymy dla ojczyzny, nie zaś dla siebie, bo na to wystarcza zdać egzamen i wziąść dyplom, ani dla nauki, bo nauka, wzięta w oderwaniu, jest kosmopolityczną.

Przemieńmy tylko Mićkiewiczowskie „łam czego rozum nie złamie!" na „miej rozum, wszystko złamiesz!" a — będzie dobrze...

Korespondencje.

Kraków dnia 10 kwietnia 1866.

(Kilka słów o technice krakowskiej.)

Brak niższej szkoły realnej w Krakowie sprawia, że młodzież z rozmaitych żywiołów złożona z nauk należycie korzystać ani też akademickiego życia rozwinąć nie może. Obok chłopca 15letniego siedzi 30 letni wiarus; z rzadka ukończony (albo po 6 klasach) gimnazjalista, obok uczniów z szkoły niby realnej — bo szkoła realna jest to zakład, w którym nauki przyrodnicze mają wprawdzie przewagę, ale w którym również i nauki historyczno-literackie obszernie a przystępnie są podawane. Tego w tak zwanej realce wcale nie ma, i ztąd pochodzi, że młodzież wychodząc do właściwej techniki oprócz początków w specjalnych przedmiotach zgoła o bożym świecie nic nie wie i już na technice się nie dowie; że wielu starzeje się na ławkach, bo nie mając potrzebnych podstaw nie trafią na przedmioty, które zrozumieć i przyswoić sobie tylko wielka zdolność i wyłączna praca potrafi; że specjaliści wcale z techniki nie wychodzą, chyba po praktyce w zawodach niższych. Pomijam same wykłady i profesorów, bo cokolwiekby tu było do życzenia, to po większej części od nas dotąd nie zależy, ograniczam się tylko na to, czemu sama młodzież zaradzićby mogła. Po za formą egzaminów co kurs, żadnej nauki. Biblioteka dosyć liczna, ale co lepsze dzieła trzymają profesorowie u siebie, chociaż tylko uczniowie po 4 zł. na nią płacą; czytelnia otwarta tylko raz w niedzielę, a czytelnia w bibliotece jagiellońskiej tylko wtedy, kiedy właśnie są kolegja. O zniesienie tych niedogodności młodzież starać się powinna. Wycieczki niby naukowe ograniczają się na okolice Krakowa, należałoby układać takowe w inne prowincje, starając się, tak jak gdzieindziej robią, o ułatwienia podróży.

Brak ruchu naukowego pozaszkolnego, brak starania się o ogólną oświatę, nadaje cechę swoją całemu pożyciu młodzieży technicznej, która wcale po akademicku nie wygląda. Łączności, koleżeństwa ani śladu. Nie ma kolegów, tylko sami panowie: panowie z jednego roku nie chcą znać panów z innego roku, a jeśli zajdzie potrzeba zetknięcia się, to nigdy inaczej się nie odbędzie tylko z nieprzywoitemi kłótniami, a bohaterskie pięście zawsze są w odwodzie. Tak n. p. pan z roku wyższego wejdzie do sali roku niższego i zajmie najlepsze miejsce do ry-

sunku; niechby się tu poważono zrobić mu uwagę, a już w drzwiach pokazują się inni panowie z wyższego roku, gotowi do zbrojnej interwencji; oto jedna mała próbka. Przykro, że młodzież dorastająca po impertynencku jest zarozumiała, a nie ma żadnego uważania; najprzykrzej dla tych niewielu, którzy są przymuszeni własnych swoich kolegów unikać, nie mogąc z nimi nic poradzić. Przy braku koleżeństwa wyszczerza się też i materjalna bieda daleko wyraźniej jak gdzieindziej.

Zanim sam zakład doczeka się reorganizacji, niechajże młodzież o sobie pamięta, bo na nic się nie przyda świadectwo i z zewnątrz nabyte narowy, przygłuszające zacne instynkta, jeżeli przez wspólną naukę prywatną, wzajemną pomoc w uzupełnieniu tego, czego ze szkół nie wynieśli, w rozwoju koleżeńskiego życia nie będą się kierować nie tylko już na mularzy, cieśli lub urzędników kolejowych, ale na ludzi z charakterem, na światłych obywateli; na nic się nie przyda i próżną jest patrjotyczna w danym razie hałaśliwość, jeżeli tam nie ma gruntu na dnie, a grunt taki trzeba tworzyć w pożyciu koleżeńskiem; na nic się nie przyda kilka lat paniczerji, bo jak się kieszenie wypróżnią, a głowa i serce nigdy nie były pełne, to trzeba potem być chyba piątem kołem u społecznego wozu. Dla techników w prowincji naszej zawody jak najszersze otwarte i powinna wiedzieć o tem młodzież polska, że do czego ją zakłady w kraju nie sposobią, do tego własnemi a wspólnemi usiłowaniami dojść należy; i żeby w społeczeństwie był ład, niechajże zawczasu członkowie jego wprawiają się nie do fumów i zbywania obowiązków lada czem.

Pierwszy krok zrobiony: młodzież techniczna podała również o Towarzystwo bratniej pomocy. *A. S.*

Paryż dnia 13 kwietnia 1866.

(Stowarzyszenie uczniów. — Przyszłość.)

Młodzież polska kształci się tu prawie na wszystkich zakładach naukowych; bliższą o niej wiadomość podamy w przyszłym liście. Zawiązała ona „Stowarzyszenie uczniów“ nietylko w Paryżu pozostających ale będących na jakimbądź uniwersytecie Europy, a to w celu wspomagania się wzajemnego w nauce, poznawania potrzeb własnych i zaspakajania ich wspólnemi siłami, badania potrzeb narodowych i kształcenia się na dobrych obywateli kraju. Dziwnem się może wydawać dla czego Stowarzyszenie zawiązane w Paryżu a nie w kraju? rzeczywiście daleko stosowniej by było, aby kierunek Stowarzyszenia był przy którymkolwiek uniwersytecie krajowym, gdzie młodzieży więcej a potrzeby krajowe silniej w oczy uderzają i zaspokojenie ich łatwiejsze, bo bezpośrednie. Ale trudna na to rada, nie tam myśl powstała; kto podaje projekt ten musi wykazać jego użyteczność i praktyczność — ludzie oddani tej myśli mogli się jej podjąć, nie kto inny. Zresztą młodzież krajowa nie ma tak rozległych stosunków, członkowie sekcji głównej są to niedawno jeszcze uczniowie uniwersytetu moskiewskiego, petersburgskiego, kijowskiego, warszawskiego i krakowskiego, mają dawnych kolegów po rozmaitych uniwersytetach Europy i łatwo z nimi skomunikować się mogą, a zawiązawszy stosunki radzi będą, jeżeli który z krajowych uniwersytetów myśl ich dalej popierać zechce, owszem z niecierpliwością tej chwili wyczekują. Jaka zaś korzyść ze zorganizowania wszech młodzieży polskiej uczącej się w różnych stronach, ze skupienia jej prac i usiłowań, z udziału wzajemnego myśli własnych i obcych; o tem zdaje się zbytecznem byłoby mówić.

Stowarzyszenie stawia dziennik „Przyszłość“, który ma być organem kształcącej się młodzieży i zajmować się przeważnie kwestją wychowania, traktowaną, rozumie się, ze stanowiska tego, z jakiego młodzież kwestję tę traktować może. „Przyszłość“ będzie miała korespondentów ze wszystkich uniwersytetów, gdzie są Polacy, już prawie zewsząd ma korespondencje przyrzeczone (niestety z Krakowa i ze Lwowa dotąd nie otrzymała odpowiedzi). Ponieważ „Tygodnik naukowy i literacki“ te same obok innych kwestje podnosi i rozbiera, mogłoby się zdawać, że te dwa pisma jedno drugiemu na zawadzie stawać będą, jest zaś przeciwnie. Stowarzyszenie uczniów wysoce ceniąc „Tygodnik“ i życząc mu jak najszerszego rozpowszechnienia się między młodzieżą i niemłodzieżą, stawia drugi dla popierania tych samych celów, dla zaspokojenia tych samych potrzeb, do czego nietylko dwóch pism nie będzie zanadto, ale mamy nadzieję, że liczba ich powiększy się jeszcze.

Dzisiejszy stan uniwersytetów polskich bardzo jest niezadowalniający, 700, 700, 300, to są liczby uczniów w r. 1862 na uniwersytetach moskiewskich, chociaż przy najniedogodniejszych warunkach, bo po za granicami kraju będących. Młodzieży z jednej prowincji litewskiej było przeszło półtora tysiąca. Nie zdziwimy się wcale, jeżeli w skutek poczucia się młodzieży liczba uczniów na każdym uniwersytecie dojdzie dwóch tysięcy lub więcej, nie zdziwimy się również jeżeli większa jej połowa uzna za nieodbitą potrzebę prenumerować dziennik, organ młodzieży, nie zdziwi nas także, jeżeli przy każdym uniwersytecie będzie podobny organ, bo to są rzeczy, które koniecznie nastąpić powinny, bez których młodzież świadoma swoich obowiązków obejść się nie może.

Młodzież powinna zrozumieć, że na niej samej leży obowiązek wykształcić się na dobrych obywateli, że na niej leży obowiązek wystarać się, ażeby tych obywateli było jak najwięcej, że ona we wszystkich robotach winna być główną sprężyną. Jeżeli młodzież jednego uniwersytetu przy gorliwej pracy wiele może zdziałać, to tem pewniej zrobi ona jeszcze więcej, skoro działać będzie wspólnie z młodzieżą innych uniwersytetów i w jednym kierunku, jeżeli myśli jednych będą komunikowane innym. Jakkolwiek młodzież po za granicami kraju zostająca nie może w robotach krajowych czynnego przyjmować udziału, za to więcej myśli może dorzucać do wspólnego ogniska; kształci się ona na wzorach całego uczonego świata, odbiera wrażenia najrozmaitszego rodzaju, a w całej masie swej poznaje wszystkich myślicieli, wszystkie dobre i złe strony wychowania i wszelkiego innego rodzaju roboty w całej Europie. Zestosunkowanie tej młodzieży, zgarnięcie tych wiadomości i wrażeń rzuci wiele nowych myśli do zgłębienia, przetrawienia i zastosowania krajowej młodzieży.

Jesteśmy pod wielu względami (nie z naszej może winy) tak zapóźnieni, że tylko poświęceniem i wytrwałością potrafimy dogonić Europę, która także nie spi i szybko idzie naprzód, nie powinniśmy przeto zwlekać robot, bo coraz większy przedział będzie nas od niej odgradzać.

Napotykamy w robotach takie trudności, na jakie może żaden naród wystawionym nie był; gdzie rząd nawet nie stawia przeszkód, tam znajdują się inne: na uniwersytecie lwowskim dotąd wykłady odbywają się w języku niemieckim, komu to zawdzięczamy? A przecież język ojczysty jest największą dźwignią oświaty, bez zaprowadzenia go po szkołach nie można spodziewać się pożądanych rezultatów — język jest najgłówniejszym i najistotniejszym instrumentem do wzrostu nauk i oświecenia — powiedział Śniadecki — ale czy dla tego, że trudno, mamy opuścić ręce i nic nie działać? Owszem wyszukiwać nowe drogi, omijać zapory i dokładać wszelkich starań na ich obalenie.

Przegląd naukowy, literacki i artystyczny.

— Józef Teodor Głębocki, b. oficer art. pols., ozdob. krzyżem wojsk. polsk., wydał w drukarni Czasu: „Wywód o szkołach rycerskich czyli wojskowych w Polsce, w ciągu dziejowym.

— U Pawła Rhodego w Lipsku wyszły trzy poemata Alkara p. t. „Tytan, Arion z Koryntu i Prometeusz“ (niewymieniony na tytule książki) wraz z drobnemi poezjami.

— Kornel Szlegel wykończył, jak o tem już donoszono, nowy obraz przedstawiający króla Jana III na weselu wieśniaczem pod Jaworowem. Obraz ten jest owocem kilkoletniej pracy i nosi rzeczywiście na sobie cechę nader sumiennego technicznego wykończenia. Sam wielki rozmiar obrazu, ilość figur i w ogólności obfitość jego treści wymagała niezmiernego trudu.

Z przedmiotem kompozycji zapoznamy najlepiej tych, co obrazu oglądać nie mogli, przytaczając opowiadanie poety, z którego znać artysta zaczerpnął pomysł do swego dzieła.

„Gdy król Jan wracał z dalekiej wyprawy — mówi poeta — błogo, jak błogosławieństwo Boże rozlewała się wieść zwycięztwa po kraju. Cała Polska spieszyła na powitanie zbawcy chrześcijaństwa, głośny był pochód i rzewne przyjęcie. Szlachta okoliczna przybywała powiększając codziennie orszak królewski. Z chlebem i solą witały gromady po gościńcach pana, z kościelnemi chorągwiami i święconą wodą wychodzili księża, bito w dzwony na cześć królowi, którego berłem była po staremu buława hetmańska.“

Tak przybył król do Jaworowa, gdzie przy małym dworku, w którym się zwykle na łowy zbierano, śród cieni rozłożystych lip i dębów, smereków i innego drzewa, śród gęsto rozsianych drzew owocowych, ulubionych przez króla Jana, cały orszak gości z szlachty, dygnitarzy, posłów, księży, asystujących rodzinie królewskiej, stanął taborem. Pod wieczór, aby uzupełnić radość królewskiego serca, przyszła gromada Jaworowska (z Podzamcza) z chlebem i weselem, z chorągwiami bractw obu wyznań i przywiodła za sobą pług z uprzężą wołów. Tedy rzecze wójt do króla: „Aże-

ście się, miłościwy Panie! pono potracili na wojnie, otóż, bez urazy waszej, daje tu wam przezemnie gromada w poczciwości statek kmiecy w zapomogę: bo za statkiem, Panie, idzie dostatek". Przyjął król chleb i woły, podczas gdy królowej wręczono kołacze (korowaj) i wieniec z leszczyny; poczem za wolą króla rozpoczęto tany. W pierwszej parze poszedł wójt z królową, w drugiej król ze starościną wesela, kowalową, dalej poszli panowie z wieśniaczkami a panie z kmieciami do koła dziedzińca „polskiego."

Nareszcie król wysuwa się naprzód, daje znać sielskiej kapeli, aby się uciszyła, a w tem rozpoczyna królewska Krakowiaka na komendę królewską: „Teraz rażnego".

Szlegel starał się właśnie w swoim obrazie wystawić tę chwilę.

Obraz składa się z trzech grup głównych, rozwiniętych na tle bardzo udatnego krajobrazu W środkowej grupie jest główną figurą w pierwszym planie król z kowalową; za nimi roztacza się koło tańczących polskiego. Po lewej od króla, a po prawej widza, stoi kapela z kobziarzem, basistą i niezbędnym w polskiej kapeli cymbalistą (żydkiem); w głębi kapela królewska, dalej orszak dworski, w którym uwydatnia się szlachcic po turecku ubrany, inna szlachta i Dominikanie jako miejscowi, nareszcie — również niezbędny jak w kapeli cymbalista — ksiądz jezuita i posłowie zagraniczni.

Naprzeciw tego grona dworaków, po prawej od króla a po lewej od widza, przedstawia się grupa, której główną osobą ma być królowa otoczona sielskim orszakiem chłopków przynoszących dary. W pierwszym planie stoi tu bardzo udatna para wołów z pługiem.

Obraz przedstawia tedy właściwie dwie główne akcje: króla przewodzącego w tańcu i królowę przyjmującą hołdy ludu. Myśl jest piękna, antyteza najwyższego szczytu społecznego z jednej: całego dworu, dyplomacji i dygnitarstwa, a pracowitego ludu z drugiej strony ze swemi wołkami, pługiem i polnemi skarbami, jest dobrze pomyślana Antyteza ta, nie wojenna, ale owszem spokojna, prawdziwie weselna, w której król tańcujący z kobietą z gminu jest bardzo trafnie przedstawiony, jako ów węzeł łączący u szczytu wszystkie sprzeczności społeczne. Tem większe czyni wrażenie ten pomysł, ile że nie jest urojony, ale oparty na dziejowej rzeczywistości. Obraz ten nosi na sobie cechę wyłącznie polską: jest to król - szlachcic, który zarówno umie stać na czele gromadki wiejskiej jak na czele narodu, w rządzie lub boju.

Co do wykonania musimy podnieść głównie piękność pejzażu, zdjętego podobno z natury, który wszelako pomimo starannego wypracowania nie panuje do tego stopnia nad główną treścią obrazu, ażeby osoby zeszły do rzędu prostej sztafaży. Owszem przeciwnie, osoby, których obraz obejmuje kilkadziesiąt, są wszystkie z taką pilnością i z takiem zamiłowaniem, nawet w drobiazgach (np. pas na królu) wypracowane, że krajobraz odgrywa tu, jak być powinno rolę podrzędną. Zarzucilibyśmy nawet artyście że z większem zamiłowaniem wyrobił niektóre podrzędne figury niż główne. Tak niewiasta z orszaku królowej, która sięga za jabłkiem podawanem jej przez trefnisia siedzącego na drzewie, jest po mistrzowsku uchwycona, rysunek doskonały, karnacja pulsująca, pulchna, muszkulatura pełna ruchu — słowem zwraca ona od pierwszego wejrzenia tak uwagę widza, że przyćmiewa królowę, której przecież pędzel artysty powinien był, bez względu na to co jej może historja zarzucić, równie hołdować, jak hołdował ów pokorny a szczery ludek. Postacie sielskie, mianowicie przewódca orszaku jest podobnie jak w przeciwnej stronie obrazu przewódca kapeli sielskiej z typową wiernością oddany.

Nie ośmielamy się zresztą uprzedzać naszym sądem wyroku, jaki wyda o tym obrazie areopag artystyczny całej Europy, któremu się artysta poddaje wysyłając swój obraz na wystawę paryzką. Dla tego dodajemy tylko jeszcze uwagę, że naszem zdaniem, nie zupełnie był artysta szczęśliwym w uharmonizowaniu świateł a szczególnie w rozprowadzeniu tak zwanego clair-obscur; prawa strona zdaje się być w za mocnem świetle w porównaniu z ciężkiemi cieniami lewej strony. Należy wszakże i to uwzględnić, że obraz stał wtedy, gdyśmy go oglądali w niekorzystnem świetle, zresztą że nie jest werniksowany. W każdym razie jest to praca zasługująca na większą uwagę, niż jej dotąd poświęcono a mianowicie dowodząca, że Szlegel nie stanął w rozwoju swego malarskiego talentu, lecz owszem postępuje.

— „Обзоръ исторіи славянскихъ литературъ А. N. Пыпина и В. Спасовича. С. Петерсбургъ 1865." Dzieło to jest uzupełnieniem Powszechnej Historji Literatury J. Szerra, wydanej w rosyjskim przekładzie pod redakcją A. Pypina. Rys historji sławiańskich literatur, o którym mowa, godny jest dla nas uwagi z tego względu, że podaje w szóstym rozdziale dosyć dokładny, jak na książkę podręczną, pogląd na literaturę polską. Pogląd ten jest, jak świadczy przedmowa, wypracowany przez p. Spasowicza. Ile z pobieżnego przejrzenia książki sądzić możemy zapatruje się nie tylko p. Spasowicz, jako autor działu o literaturze polskiej, ale i autor innych działów dosyć bezstronnie na polskie dzieje i literaturę. Mianowicie ciekawe jest zakończenie dzieła, w którem on występuje jako przeciwnik panslawizmu. Przebija się wszakże dążność rozszerzenia opieki rosyjskiej nad wszystkiemi plemionami słowiańskiemi.

Przewodnictwo w oświacie między narodami słowiańskiemi przyznaje autor obok Rosji Polsce. Podobnie też i pierwszeństwo między literaturami słowiańskiemi przyznaje p. Pypin rosyjskiej i polskiej. Pomijając wszelkie inne działy literatur słowiańskich zwracamy szczególnie uwagę na dział o literaturze polskiej. P. Spasowicz przyznaje w ogólnem wstępie do swojego poglądu Polakom tę zaletę, że zachowali niezależność od wpływów cudzoziemskich zarówno w rozwoju swoim politycznym jak i literackim.

„Ustaliwszy swoją polityczną samoistność, pisze p. Spasowicz, nieuległa polska narodowość także pod względem oświaty wpływom giermanizmu; nie brała ona udziału w krzyżackich wyprawach, nie przyswoiła sobie feudalnych systemów, ani też rycerstwa, wyrobiła ona sobie wyłącznie literaturę podług wzorów starożytnych a przeważnie łacińskich, nie masz w niej żadnych śladów romantyzmu i porywów spekulacyjnych... Literatura ta odznacza się uczuciem wolności, spokojem, cechami dodatniemi, duchem obywatelskim, patrjotycznemi motywami. Podobnie jak rzymska tak i cała polska literatura nosi na sobie cechę polityczną i krąży około spraw pospolitych (gosudarstwennych) i obywatelskich; podobnie jak rzymska, jest ona głównie wyrazem życia publicznego... Przeniknioną duchem obywatelskiej wolności, jest ona wszakże przeważnie szlachecką. Najwyższego stopnia rozwoju doścignęła literatura w 16 wieku, w tak zwanych czasach złotych Zygmuntowskich, kiedy za ostatnich Jagiellonów szlachcie udało się dojść do szczytu władzy, zmienić tron dziedziczny na wybieralny i zaprowadzić jakoby federacyjną rzeczpospolitę, na której czele stał monarcha wielce ograniczony w swoich prawach, wcielić w skład Rzeczypospolitej i zjednoczyć z nią węzłami unji nie dynastycznej, ale realnej liczne ziemie pruskie, litewskie i ruskie."

Po tym ogólnym wstępie historycznym przechodzi autor literaturę polską od najdawniejszych czasów aż do najnowszych w krótkim dosyć dokładnym poglądzie. Dotykamy tu tylko działu współczesnej literatury, w którym autor objawia zdania o wszystkich głośniejszych pisarzach naszych w sposób dosyć bezstronny, chociaż nie zawsze trafny. Oddaje on słusznie palmę w poezji Mickiewiczowi, Krasińskiemu i Słowackiemu. W filozofji uważa Trentowskiego za zwolennika Hegla. Podobnie uważa za rozszerzaczy heglowskiej filozofji Libelta i Cieszkowskiego. Nie pomija zresztą żadnego z naszych znakomitszych pisarzy w kraju i emigracji. Chociaż nie możemy się zgodzić z autorem we wszystkich sądach działu o literaturze polskiej, to jednak przyznać należy, że rosyjscy czytelnicy mogą z tej książki powziąść przynajmniej wyobrażenie o żywotności naszego ducha narodowego. *K. W.*

Teatr polski. Nowa sztuka hr. Leopolda Starzeńskiego którąśmy w ubiegłym tygodniu na scenie naszej po pierwszy raz widzieli uczyniła w ogóle dobre wrażenie. Wysoce to należy cenić, że autor nie dał się zrazić niepomyślnym sądem o poprzednich swoich utworach dramatycznych i stara się wraz obranym zawodzie coraz dalej postępować. Jakoż „Sen trefnisia" dowodzi rzeczywistego postępu. Jeżeli sztuka ta nie odpowiada wielu wymaganiom krytyki, toć znowu byłoby niesprawiedliwością pomijać ją, jak się pomija efemeryczne utwory. Jedna z głównych zalet sztuki jest ta, że się stosuje do sceny, że zajmuje statecznie widza a przeto utrzyma się zapewne na repertoarzu sceny naszej.

Jest to sprawa dworska i familijna, zaczepiona z lekka o dziejów tok ogólny. „Sen trefnisia" jest obrazem obyczajowym udramatyzowanym, i mógłby przy innem traktowaniu rzeczy udatniej może się wydać w formie komedji, niż poważnego dramatu. Dramat wymaga charakterów, tu ich nie masz. Weselik mógłby być charakterem, ale nie jest nim w „Śnie Trefnisia". Jeden margrabia Chardy zakrawa na charakter, ale główny czyn, w którym jego charakter mógłby się rozwinąć, tj. intryga przeciwko Lubomirskiemu odbywa się za kulisami i traci na wadze w obec wysuniętej na pierwszy plan sprawy osobistej Weselika, tj. jego oczyszczenia się z zarzutu jakoby zabił Obożnego. Walka główna, właściwy fakt dziejowy, między partją Lubomirskiego a partją jemu przeciwną, przechodzi po nad sceną a raczej po za sceną jak daleka burza, podczas gdy na scenie kończy się wszystko na lekkim deszczyku, z którego wychodzi margrabia „jak zmyty", a Brzeski alias Weselik odzyskuje łaskę królewską, otrzymuje starostwo i rękę swojej bogdanki. Wszystko to jest skutkiem zręcznie opowiedzianego snu przez fałszywego trefnisia. Przedmiot, który mógł być wielkim, pojęty z innego stanowiska, użyty jest tu do uwydatnienia drobniejszego rozmiaru intrygi. Na wszelki wypadek powabniejszy jest ten dramat, dla samej historyczności osób, niż tyle innych dramacików, osnowanych na domowej lub dworskiej intrydze. Należy to nawet poczytać autorowi jako zasługę, że pojął przedmiot w sposób nie przesięgający jego talentu.

Obrobienie jest zręczne, układ sceniczny dowodzi dosyć wprawy, akcja toczy się żwawo (zwłaszcza w drugim akcie) dykcja ładna, wiersz potoczysty, parę ustępów nawet prawdziwie patetycznych, wszystko to wskazuje, że p. Starzeński powinien dalej pracować w tym zawodzie, bo przysłowie „noblesse oblige" stosuje się także i do umysłowych zdolności. O grze aktorów nie mamy nic szczególnego do powiedzenia, najlepiej była odegrana rola margrabiego, beneficjant (p. Królikowski) miał rolę zbyt małą, aby mógł wymagać krytyki, Weselik pozostawił wiele do życzenia, inne role były podrzędne, rola Klary, kochanki Weselika była dobrze odegrana, ale szkodzi jej zbytek lirycznych ustępów, których autor powinien unikać.

Wydawca i odpow. redaktor **Bronisław Zamorski.** Główny współpracownik **Karol Widman.** Z drukarni E. Winiarza.